



Krótnia
o
„POLONEZA”
str. 4-5

**Być
w Arktyce
i nie zobaczyć
bieguna**
str. 5

**SKRZYDATE DACHY
NAD TEDONG-GANG**
Barwna pocztówka z Korei
str. 4

„i płac tu czelku
po całym wieku...”
**Prztyczek
w urzędowy nos**
str. 3

Rozmowy W. Jaruzelskiego
z G. Z. Singhem

**Prezydent Indii
gości w Polsce**

Na zaproszenie przewodniczącego Rady Państwa PRL Wojciecha Jaruzelskiego przybył wczoraj do Polski z oficjalną wizytą prezydent Republiki Indii Giani Zail Singh. Uroczystość powitania dwójnego gościa odbyła się w...

ciąg dalszy na str. 2

Wiedeń 86
**Stanowiska
ZSRR i USA**

W centrum uwagi

Czwartek, trzeci dzień obrad spotkania KBWE. Wiedeń '86, poświęcony był nadal składaniu deklaracji wstępnych przez ministrów Spraw Zagranicznych państw uczestniczących w spotkaniu. Oczekiwano też z napięciem kontynuacji dwustronnych rozmów radziecko-amerykańskich. Eduard Szwarnadze i George Shultz spotkali się tym razem w ambasadzie ZSRR.

Przedpołudniowemu posiedzeniu plenarnemu przewodniczył austriacki minister Spraw Zagranicznych, Peter Janakowitsch. Przemówienia wygłosili ministrowie Spraw Zagranicznych Islandii, Malty, Belgii, Grecji i Luksemburga. Po południu wystąpił szefowie dyplomacji Portugalii, Turcji, Norwegii, Meksyku i Cypru.

W centrum uwagi obserwatorów spotkania pozostają nadal środowiska wystąpienia Eduarda Szwarnadze i George Shulza. Zwraca się uwagę na dzielące je różnice tonu, treści merytorycznej i podejścia do kluczowych problemów. Wschód — Z Zachodu — do spraw rozbrojenia oraz europejskiego dialogu. (PAP)



Tamara Jakubowska w ubiegłym roku także była najlepszą w kraju, zaś dwa lata temu zajęła trzecie miejsce.

Białostoczanka — najlepsza w kraju!

**Szybko
i bezbłędnie**
INFORMACJA WŁASNA

Aby zakwalifikować się na Centralny Konkurs Telegraficzny trzeba było pisać na dalekopisie z szybkością ponad 250 znaków na minutę, lecz aby go wygrać — ilość znaków musi wzrosnąć do ponad 350 na minutę. Do tego dochodzi jakość pisania, czyli jak najmniejsza ilość błędów.

ciąg dalszy na str. 2

Jutro w „Gazecie”

Spółdzielnie kółek rolniczych mają do wyboru: albo trzymać się kurczowo polowych usług mechanizacyjnych i jechać z tego powodu na stratach, albo też szukać nowych źródeł dochodu. Rozsądek oraz twarde reguły reformy gospodarczej podpowiadają to drugie rozwiązanie. W ŁOM ŻYNSKIM SKR — AKCENT NA ZARADNOŚĆ.

Teatr ma swoich zdeklarowanych miłośników w Białym Podlaskim, Łapach, Mońkach, Sokółce i Siemiatyczach, chociaż ten ostatni oddział od dawna prowadzi raczej byt pozorny niż rzeczywisty. Mimo kilku prób nie udało się go ożywić. Gdzie indziej, np. w Suwałkach władze wojewódzkie postanowiły zawiesić działalność oddziału uzasadniając posunięcie w dosyć dziwny sposób: — Skoro w mieście nie ma teatru zawodowego to na co komu jego miłośnicy. UPÓWSZECNIANIE KULTURY — TOWARZYSTWO ADORACJI TEATRU.

Dalszy rozłam małżeńskich dokonywał się za sprawą Miska gubiącego siostrę niezależnie od pory roku i dodająca stroną kartkowy przydział mięsa. Pozew rozwodowy, gdzie strona wnioskująca rozwazanie małżeństwa miała być Lucja W., wisiła na włosku, lecz w czasie przesłuchań go niecierpliwie wypadek. Otóż pan W. w trakcie czynności sądowych zламаł nogę i po założeniu gipsu trafił na szpitalną kurację do szpitala. WYSTAWIENIE MŁ.

Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!

MAGAZYN

Gazeta Współczesna

DZIENNIK POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ

Nr 260 (10 952) Białystok — Łomża — Suwałki, piątek. 7.11.1986 r. Nakład 228.000 Cena 10 zł

Komu spółdzielcze mieszkanie?

Sprawiedliwie — bez przywilejów

Rada Centralnego Związku Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego podjęła uchwałę, która zmienia niektóre zasady przydziału mieszkań spółdzielczych. Obowiązujące ona będzie od 15 listopada br.

Zmiany odnoszą się przede wszystkim do wprowadzonej przed 3 laty możliwości uzyskania mieszkania w trybie przyspieszonym. Przypomnijmy, że przyjęte wtedy przepisy miały na celu — w określonych, społecznie uzasadnionych przypadkach — stworzenie możliwości szybkiego uzyskania mieszkania, niż by to wynikało z miejsca

Zdecydowano się co prawda na utrzymanie tych uprawnień, ale zaostrzono wymagania i postanowiono, iż może to dotyczyć nie więcej niż 5 proc. ogólnej puli mieszkań. Mogą się o nie ubiegać jedynie ci pracownicy, którzy legitymują się okresem co najmniej 5-letniej nieprzerwanej pracy w tym samym przedsiębiorstwie i takim samym okresem oczekiwania na mieszkanie — pod warunkiem, że nie mają samodzielnego lokalu.

Nowym elementem tych przepisów jest stworzenie możliwości przyspieszenia przydziału osobom szczególnie niezbędnym dla danego miasta lub regionu.

Ustalono, że umieszczenie na liście przyspieszeń musi poprzedzać kontrola warunków zamieszkiwania osoby lub rodziny, która się o to ubiega. Do składu zespołów kontrolujących zapraszani będą przedstawiciele władz terenowych, organizacji społecznych i politycznych. Aby rozszerzyć społeczny nadzór nad przydziałami postanowiono, że projekty list zawierających nazwiska osób, które mają skorzystać z przyspieszenia przydziału, będą wywieszane do publicznej wiadomości przez jeden miesiąc.

(PAP)



**Posiedzenie
Komitetu RM
ds. Młodzieży**

* WARSZAWA — Problemy młodych ludzi na wstępie do życia zawodowego — to temat wczorajszego wyjątkowego posiedzenia w Pile — Komitetu Rady Ministrów ds. Młodzieży. Analizowano przede wszystkim start zyciowy i zawodowy młodzi w wieloletniej, staw bazy oświatowej na wstępie do życia zawodowego i także w sferze kulturalnej i sportowej.

**Papież uda się
do USA**

* WASHINGTON — Konferencja Biskupów Amerykańskich, opublikowała komunikat, z którego wynika, że we wrześniu przyszłego roku papież Jan Paweł II po raz drugi uda się w podróż do Stanów Zjednoczonych.

**Rozmowy W. Tafta
w Izraelu**

* KAIR — Do Izraela przybył pierwszy zastępca ministra Obrony USA William Taft. Przeprowadził on rozmowy z przedstawicielami izraelskiego ministerstwa Obrony na temat wznowienia kontaktów wojskowych USA — Izrael w ramach porozumienia o współpracy strategicznej.

**Amerkańska broń
dla Pakistanu**

* DELHI — Administracja USA podjęła decyzję w sprawie dostarczenia Pakistanowi ponad 500 najmniejszych czołgów typu „M-1”. Czołgi te całkowicie niedawno rozpoczęto produkować w USA i dopiero zaczęły być wprowadzane do uzbrojenia armii Stanów Zjednoczonych. Wskazuje się, że wyposażenie pakistańskiej armii „M-1” zwiększy groźbę dla bezpieczeństwa Indii i całego regionu.

(PAP)



Jesień
idzie
przez
park

Fot. ROMAN SIENKO

W 69 rocznicę Rewolucji Październikowej

**Depesza
z Polski**

Z okazji 69 rocznicy zwycięstwa Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej — I sekretarz KC PZPR, przewodniczący Rady Państwa WOJCIECH JARUZELSKI i prezes Rady Ministrów ZBIGNIEW MESSNER przesłali depesze do sekretarza generalnego KC KPZR MICHAŁA GORBACZOWA, przewodniczącego Rady Najwyższej ZSRR ANDRIEJA GROMYKI i przewodniczącego Rady Ministrów ZSRR NIKOLAJA RYZKOWA. Przywódcy polscy przekazali wszystkim komunistom i bratniemu narodowi radzieckiemu serdeczne pozdrowienia i najlepsze życzenia dalszych sukcesów w realizacji historycznych uchwał XXVII Zjazdu KPZR, w dziele rozwoju Kraju Rad. (PAP)

**Uroczystości
w Białymstoku**

Wczoraj, 6 bm., w przeddzień 69 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, w godzinach popołudniowych przedstawiciele partii i stronnictw politycznych, Ambasady ZSRR w Polsce, delegacje filmowców radzieckich i Obwodu Grodzieńskiego, przedstawiciele administracji państwowej, rad narodowych, TPPR, PRON, Wojska Polskiego, organizacji kombatanckich, społecznych i młodzieżowych, zakładów pracy i szkół, złożyli wieńce i kwiaty przed Pomnikiem Wdzięczności Armii Radzieckiej na Białostockich Plantach. Przy pomniku zapłonęły znicze a żołnierze zaciągnęli wartę honorową. Orkiestra WUSW odegrała hymn Polski i Związku Radzieckiego oraz Międzynarodówkę.

W sali Filharmonii Białostockiej odbyła się uroczysta akademicka, na którą przybyli członkowie kierownictwa wojewódzkich i miejskich Instytucji PZPR, ZSL i SD, działacze TPPR, weterani ruchu robotniczego, Polacy — dawni żołnierze Armii Czerwonej, przedstawiciele PRON, Wojska Polskiego, wyższych uczelni, zakładów pracy, szkół, mieszkańcy Białostoku, młodzież. Serdecznie powitani przedstawiciele Kraju Rad — sekretarza Ambasady ZSRR — Mikolaja Trucnika, delegacje filmowców radzieckich, które przewodniczący sekretarz Związku Filmowców ZSRR, laureat Nagrody Leninowskiej — Anatolij Grebniew, zastępca przewodniczącego Komitetu Wykonawczego Ob-

wodowej Rady Delegatów Ludu Pracującego w Grodnie — Piotra Simonowa, kierownika Wydziału Nauki i Wyszczególnienia Komitetu Obwodowego KP Białorusi w Grodnie — Michaila Fursa i sekretarza organizacji partyjnej w kolchozie „Komsomolec” — Wiktor Duzka. Referat okolicznościowy wygłosił sekretarz KW PZPR, przewodniczący ZW TPPR — Mikolaj Kozak. Obszerne omówił on znaczenie Rewolucji Październikowej podkreślając, iż pierwszy akt prawny nowej władzy radzieckiej — „Dekret o pokoju” stał się fundamentem polityki zagranicznej ZSRR. Mówca wiele uwagi poświęcił doniosłym propozycjom M. Gorbaczowa mającym na celu utrzymanie i utrwalenie pokoju oraz zaprzestanie niebezpiecznego wyścigu zbrojei. — Naród polski — podkreślił mówca — ma szczególne powody, aby myśleć i wspominać o państwie, które do dnia dzisiejszego, 1917 r. Polacy bowiem czynnie uczestniczyli w wydarzeniach rewolucyjnych i budowie pierwszego na świecie państwa socjalistycznego. Od 42 lat utrzymuje się, wyjątkowo korzystna, współpraca polityczna, gospodarcza i kulturalna między Polską i Związkiem Radzieckim. Systematycznie zacieśniają się więzy łączące Białostocznycę z radziecką Litwą i Obwodem Grodzieńskim. Na zakończenie tow. M. Kozak przekazał serdeczne

ciąg dalszy na str. 2

**Znów wichura
narobiła kłopotów**

▲ WIELE MIEJSCOWOŚCI BEZ PRĄDU ▲ RUNEŁO RUSZTOWANIE PRZY „STYLOWEJ” ▲ SPORO WYPADKÓW DROGOWYCH ▲ „BAROWA POGODA” — TRAGICZNA LIBACJA

Ostrzeżenia synoptyków potwierdziły się. Wczoraj po południu i wieczorem w naszym regionie nasilała się listopadowa szaruga. Prędkość wiatru dochodziła w porach do 25 m na sek.

Skutki szalejącej wichury najszybciej i najbardziej dotkliwie odczuł odbiorcy prądu i energetycy. Do godz. 18 uszkodzeniu uległo ogółem 35 linii średniego napięcia, 23 odgałęzienia oraz 1667 stacji transformatorowych.

Najbardziej niebezpieczną sytuacją panującą w woj. suwalskim; wyłączono tam 18 linii średniego napięcia i 903 stacje transformatorowe. W Puńsku, Wiśniewie, częściowo...

ciąg dalszy na str. 2



NA ZDJĘCIU: mgr LUBA-UBA w pracowni fizyki magnetyków. Tu prowadzone są m.in. badania struktur domenowych w granatach.

Pora, na którą umówiliśmy się w Katedrze Fizyki Filii UW, w miarę upływu czasu budzi w nas lekkie niepokój. Godzina 16.30 — czy aby zastaniemy kogoś w pracowni, zdołamy porozmawiać, przyjrzyć się z bliska rzeczom, które na co dzień są nam obce, wręcz niepojęte? Obawy szybko znikają. We wcześniejszym w głąb ulicy Lipowej budynku ruch nieczym w południe. Studenti mają jeszcze wykłady. W pracowniach tętni życie.

Charakterystyczny odgłos włączonych komputerów. To pracownia informatyczna. Cztery stanowiska, wszystkie zajęte. Z wolnych miejsc korzystają akuraty studenci. W kolejce następną grupę. Najmłodsi sympatycy maszyn liczących — uczniowie szkoły podstawowej.

BLIŻEJ FIZYKI

— Przychodzą tu bardzo chętnie — mówi kierownik Katedry Fizyki, doc. dr hab. Michał Świątek — niektórzy radzą sobie doskonale. Układają nawet samodzielnie programy.

fizykom, ale i większości zakładów Filii UW. Tutaj dokonuje się najróżniejszych obliczeń naukowych. Znana jest także doskonale w środowisku nauczycieli fizyki, którzy z całego regionu przyjeżdżają do Białostoku na szkolenia komputerowe. Jest to jeszcze jedna próba otwarcia drzwi uniwersyteckich, podjęta z myślą o długofalowym, pogłębionym i wspartym o aparaturę wyposażenie — przyrządy z fizyka.

— Dysponujemy komputerami średniej klasy — uściśla mgr Eugeniusz Zukowski — duże problemy, będące przedmiotem zainteresowań fizyków teoretycznych, nie mogą być przez nie rozwiązywane. Ten typ komputerów ma

ciąg dalszy na str. 4



DZIS — zachmurzenie zmienne, miejscami przelotne opady deszczu i graju. Temperatura maksymalna 6-8 st. C; minimalna 3-5 st. C. Wiatr...

IMIENINY: Antoniego, Zymira. (11)

Jak uzyskać więcej mieszkań

Pomarańczowy Ford „Transit” — pamiątka z czasów prosperity, kiedy BIAŁOSTOCKI KOMBINAT BUDOWLANY prowadził w połowie lat siedemdziesiątych prace m.in. w RFN — grzeźnię w blocie.

— To nie nasza wina — powie później na spotkaniu z aktywnym przedsiębiorstwa dyrektor ROMAN DUBNIK. — Gdybyśmy mieli właściwie przygotowany teren z drogami, uzbrojeniem — nie byłoby tych problemów. Ale najważniejsze dziś są mieszkania, a nie — jak do nich dojść.

UL. Swoboda. Budynki nr 28 i 30. Plac budowy zakodowany jako „Dziesięć lat po wojnie”. Wystrój i obrotowa. Nie chodzi już o to, czy dojdziemy do bloków suchą nogą, a raczej — czy w ogóle uda nam się dojść, czy przypadkiem nie ugrzęźniemy gdzieś w polowie drogi na dobre?

— Chcieliśmy porozmawiać z robotnikami! — mówi sekretarz KW PZPR w Białymostku, Tadeusz Trzaskowski — poznać ich kłopoty i

ca. A przecież był badany, ma nawet atest Instytutu Higieny. Albo ta droga. W tym roku nie ma mowy o jej skończeniu. Będzie prowizorka. A w przyszłości? Przecież grunt się musi także uleżeć. W przeciwnym razie zamiast asfaltu będą tu same dziury.

Dzierżymy do windy. Znajdujemy się na trzecim piętrze wykańczonego właśnie budynku. Ściany w większości mieszkań już są wytapetowane. Betonowa podłoga czeka na wykładzinę.

Budowanie z atestem

zobaczyć jak pracują, co im przeszkadza w wykonywaniu obowiązków.

— To nie kontrola — zamach człowiek Egzektury KW, ppik Stanisław Bryndza. — Chcemy zobaczyć plac budowy. Mieszkania to sprawa niezwykle ważna. Musimy wiedzieć, jak powstają. Dopiero wtedy możemy wspólnie poszukać sposobów poprawy. Żeby ich było więcej i jednocześnie — by były jak najlepsze.

Przedzieramy się przez błotnistą maź. Z boku spychacz planuje teren. Zatrzymuje się tuż przed gotowym już do zamieszkania blokiem. I znów do przodu.

— Tu na przykład ludzie mogliby się już wprowadzać — informuje towarzyszący nam zastępca dyrektora BKB, Stanisław Pietrasz. — Niestety, trwa przymusowe wietrzenie. Zastosowany przez nas klej okazał się szkodliwy. Aby substancje się zneutralizowały, potrzeba miesią-

— Taki mały pokój i prośbę, jaka różnica poziomów — zauważa T. Trzaskowski. — Nie wstyd wam dyrektorze? Ludzie potem narzekają, że nie ma jak ustawić mebli.

Przechodzimy piętro wyżej. W klatce schodowej spotykamy brygadzystę malarza — Włodzimierza Małwiewicza. Jego syna, świeżo upieczonego absolwenta Technikum Budowlanego, który od miesiąca wraz z ojcem pracuje w Kombacie.

— Materiały mamy. Skończyli się na szczęście kłopoty z farbą — mówi brygadzysta. — A zarobki?

— Jak się pracuje, to i trzydziście tysięcy można zarobić. Wiadomo — akord. Latem to nawet i więcej. Teraz musimy się zwinąć. Jeszcze nie grzeja.

— Za dwa, trzy dni będzie już ciepło. Kończymy rozmowy wiatrem, kilka rur i woda popłynie — informuje zastępca dyrektora S. Pietrasz.



Atrakcyjnie wygląda nowy hotel „Grodno”. Może w nim zamieszkać 800 osób, jest też restauracja i kawiarnia.

Nowe Grodno

Obwód grodzieński, najmniejszy w Białoruskiej Republice Radzieckiej położony w dorzeczu Niemna obejmuje obszar 25 tys. km kwadrat. Podzieleny jest na 17 rejonów, w których znajduje się dziesięć miast. Stolicą obwodu a zarazem największym miastem jest Grodno, które w 1973 r. obchodziło 850-lecie

i liczy dziś około 250 tys. mieszkańców.

Grodno z każdym rokiem staje się miastem coraz bardziej nowoczesnym i piękniejszym. Ostatnio m.in. oddano do użytku Teatr Dramatyczny, hotel „Grodno”, dworzec kolejowy i most nad rzeką Niemnem łączący starą część Grodna z nową.

Wielki kapitał przy pomocy i pomocy rządu, uprawia politykę wymierzającą przeciwko ludziom pracy. Celem ataków jest amerykański ruch związkowy. Pierwszym posunięciem w antyzwiązkowej ofensywie administracji było rozwiązanie w 1981 r. związku zawodowego kontrolerów ruchu lotniczego za zorganizowanie strajku protestacyjnego przeciw planowanemu obniżeniu płac.

Górnicy kopalni w Arizonie, należących do koncernu międzynarodowego Phelps Dodge Co. odpowiedzieli strajkiem na zapowiedź zwolnienia z pracy połowy z nich i zmniejszenia pozostałym zarobków o czterdzieści procent. Firma wezwwała policję, a prezydent wcielił dyktando, że koncern nigdy nie zaakceptuje warunków, które przedłożyli strajkujący i nie przylecił ponownie do pracy uczestników protestu.

Pracodawcy zaproponowali całonocny strajk, który w rzeczywistości okazał się strajkiem. Kolejarze podjęli strajk, i później podjęli strajk. Prezydent Reagan wydał im nakaz powrotu do pracy na warunkach ustalonych przez towarzystwa.

W wojnie między wielkim kapitałem a światem pracy pierwszy przeważa coraz bardziej. Establishment trzyma w rękach wszystkie atuty — w tym przede wszystkim — w parlamencie, w wymiaru sprawiedliwości.

W USA obowiązujące ustawy zabraniają strajków w przedsiębiorstwach, stanowiących i komunalnych oraz w instytucjach, których działalność dotyczy w jakimś

stopniu bezpieczeństwa państwa. Pracownicy tych instytucji muszą podpisywać deklarację lojalności, zawierającą punkt mówiący o nieucieczaniu się do strajków.

W 1984 r. Sad Najwyższy podjął decyzję, pozwalającą przedsiębiorcom jednostronnie odstąpić od podpisanej z pracownikami umowy zbiorowej, jeśli firma grozi „niepoważeniem finansowym”.

Stosunkowo nowym zjawiskiem jest „ucieczka” przed związkami zawodowymi. Polega ona na przenoszeniu przedsiębiorstw z rejonów, gdzie istnieje silny ruch związkowy (stany północne i północno-wschodnie) na południe i zachód, gdzie silna robocza jest tańsza a organizacja pracownicza nie ma takich tradycji i wpływów. W 20 stanach USA nigdy nie ratyfikowano ustawy o obowiązkach zatrudniania związków.

Jedną z najważniejszych instytucji, określających relacje między pracodawcami a pracownikami jest Krajowa Rada ds. Stosunków Pracy. Przez rok kierował nią z nominacji prezydenta Reagana — John Van de Water, autor książki pouczającej jak walczyć ze związkami zawodowymi, chlubiący się tym, że jako adwokat nigdy nie przegrał sprawy przeciwko zremontowanemu pracownikom. Ta nominacja okazała się jednak nie do przeknięcia nawet dla zdominowanego przez republikanów Senatu.

Krajowa Rada ds. Stosunków ze Związkiem Zawodowym — organ federalny — została w 1985 r. zastąpiona przez organem państwowym do

Schodzimy do piwnicy. W wózkowym pracuje brygada Tadeusza Wilczewskiego.

— Ma człowiek ten staż — mówi T. Wilczewski. — Przez trzydzieści trzy lata pracy wybudowałem kawał Białegostoku. Środmieście, całe i na Malmieda, na Alei, na Lipowej — to można powiedzieć — moje bloki.

— A w związkach działacie? — pytał sekretarz KW. — Teraz to nie. Do „Solidarności” nie należymy, a nikt nam nie mówi, że

te stare związki zawodowe rozwiązano. Wtedy, to tak nawet działaliśmy trochę.

— Szkoda, bo kto jak nie starzy fachowcy mają dawać młodym przykład?

— A kłopoty jakieś macie? — wtrąca ppik S. Bryndza.

— Teraz to wyraźnie jest lepiej. Wystarczy iść do sklepu. W robocie też w porządku. Tylko te ubrania robocze. Niby są, ale numery nie pasują. Trudno coś dobrać. Zrobiłbyś mi coś do pracy, żeby każdy podawał swoje rozmiary i jakby imiennie przywoził, byłoby lepiej.

— Jesteście dobrzy fachowcami, więc powiedzcie coś o technologii, jaka jest najlepsza? Może witrażowa? — Raczcie nie. Powinny być tynk. Wtedy ściana oddycha. A tak w ogóle, to budować trzeba najtaniej i jednocześnie najlepiej.

— Na zagranicznych budowach byliście?

— Tak. Tam wcale nie jest dużo więcej maszyn. Produkcji pcha się, tylko od nich kup. A u nas, niestety, odwrotnie.

Na budowie kończy się przerwa obiadowa. Kolejna wizyta w bufecie. Pomieszczenie już puste. Kilka stolików. Lada — papierosy, oranżada.

— Czy było dziś coś ciepłego? — Mieliszmy bigos — odpowiada bufetowa Maria Trele. — Codziennie są albo flaczki, albo kotlety, albo bigos właśnie.

Oglądamy dużą stołową. Posiłki regeneracyjne wydawane tu będą od 1 listopada. Miejsca starczy dla wszystkich.

— A dyscyplina pracy? — z tym pytaniem zwraca się sekretarz KW. T. Trzaskowski do kierownika budowy — Jerzego Nieruchowskiego.

— Staram się, ale ostrożnie. Niestety, do budownictwa ludzie się nie garną. Dlatego nie można ich zrazić, trzeba postępować zdecydowanie, lecz i taktycznie.

Opuszczamy Dziesięć. Kierunek — „Zielone Wzgórza”. Po drodze mijamy teren, który Kombinat przygotowuje pod budowę w przyszłym roku. Ciasno tu Bloki wiskane są między posesje prywatne.

Z tym mamy ogromne kłopoty — mówi dyrektor R. Dubnik. — Nie ma mocnych do wywłaszczeń. A my miotamy się. Jak na takim skrawku ziemi złożyć materiały, zamontować żuraw? Dla jednego budynku? Przecież to niesamowicie podnosi koszty.

Na „Zielonych Wzgórzach” nasza uwaga zwraca się balkon. Wprowadzono tam superciężkie balustrady z dodatkowym szkieletem na skrzynki kwiatowe. Już na pierwszy rzut oka traci to marnotrawstwem.

— Trzeba się tym koniecznie zająć — mówi sekretarz KW. — To przecież niedopuszczalne.

W tym osiedlu po raz pierwszy część piwnic wykorzystano do celów usługowych. Sklepy. Pomysł dobry, interesujące rozwiązanie architektoniczne.

Wracamy do samochodu. Mijamy stertę cegieł. Nowych, spieczonych metalową taśmą, a jednak zrzuconych na kup. Cześć już zadziła się polutec.

W biurze BKB spotkaliśmy z aktywnym. Wspólnie szukamy rozwiązań nabrałych problemów. Odnajdujemy odpowiedź na odwieczne pytanie: co zrobić, żeby było lepiej?

Padają różne propozycje. Przytaczane dane napawają optymizmem. Umikarowym. Powoli Kombinat „wychodzi z dolki”. Ale są też trudności. Ilesze trzeba czasu, aby przywrócić dawne tempo na dzisiejszych budowach?

TOMASZ KALINOWSKI

Niezwykle ciekawą bryłę architektoniczną prezentuje Teatr Dramatyczny. Posiada 800 miejsc (duża scena) i 216 w tzw. małym teatrze. Nowy sezon rozpoczyna się 12 listopada. Tekst i zdjęcia (let)

■ natychmiastowego zwalniania z pracy organizatorów strajków i zmniejszania płac pracowników popierających strajki;

■ zamykania przedsiębiorstw zagrożonych skutkami długotrwałych strajków;

■ odmowy rokowań w sprawie zmiany warunków umów zbiorowych pod groźbą porzucenia pracy.

W myśl tego samego zarządzenia przedsiębiorstwo które korzysta z kredytów bankowych i staje w obliczu niewypłacalności, może zwolnić dowolną liczbę pracowników.

Drastycznie zmniejsza się liczebność związków zawodowych, mimo wzrostu ilościowego siły roboczej. W ciągu 30 lat (1954—84) udział pracowników zrzeszonych w związkach w ogólnej liczbie zatrudnionych poza rolnictwem spadł z 35 proc. do 19 proc. — prawie o połowę. AFL-CIO liczy dziś ok. 15 mln członków. W Stanach Zjednoczonych pracuje ogółem ok. 110 mln osób.

Obecny kryzys związków uważa się za najpoważniejszy w ciągu kilkudziesięciu lat.

Duża część winy za obecną sytuację obciąża sam ruch związkowy, a zwłaszcza AFL-CIO. Jego udogodowa postawa wobec wielkiego kapitału i nieudane próby interwencji na rzecz mas członkowskich coraz bardziej podważa zaufanie pracowników. Nie przypiera im też popularności fakt, że wielu działaczom związkowym wysokiemu szczebla zarzuca się korupcję, powiązania z mafią, sprzeniewierzenie organizacyjnych funduszy itp.

TRYBUNA LUDU

Ekspresem u przyjaciół

Pogotowie na poduszkuwcu

Radziecy specjaliści skonstruowali nowy rzeczony kuter na powierzchni poduszki, nazwany „Puma”. Podobnie jak jej poprzednicy z „kociej serii” — „Gepard” i „Bars” kuter może poruszać się po wodzie i po każdej innej stosunkowo równej powierzchni: np. po ułubionym śniegu, lodzie, bagnach. Średnia prędkość „Pumy” wynosi 65 km/godz. Na pokładzie jednostki zastalowano aparaty medyczne, butle z tlenem, sprzęt i wyposażenie sali operacyjnej. Po próbach kutra, które odbywały się obecnie na rzekach Syberii, przewiduje się wykorzystanie go w charakterze karetki reanimacyjnej pogotowia ratunkowego w odległych, słabo zaludnionych rejonach, zagrożonych sieci drogowej.

Miasto na pustyni

Tworzenie nowej bazy dla nacierzy w pustynnym Rowie Nadkaspjskim w Kazachstanie rozpoczęło od budowy nowego miasta dla 25 tys. mieszkańców. Zasadlono już pierwsze wielopiętrowe domy. Powstaje szkoła i placówki wychowania przedszkolnego, kompleks medyczny z basenem i obiektami sportowymi.

Kaukaz rośnie

Zdaniem naukowców z Instytutu Geologicznego Akademii Nauk ZSRR i Gruzińskiej SRR — góry Kaukazu rosną... do 12 milimetrów rocznie. Zjawisko to zaobserwowano w wysokogórskim obwodzie Wielkiego Grzbietu Kaukaskiego. Obliczono, że jeśli Kaukaz będzie nadal rosnąć z poprzednią prędkością, to jego szczyty za milion lat będą miały wysokość 10—12 km.



Niezwykle ciekawą bryłę architektoniczną prezentuje Teatr Dramatyczny. Posiada 800 miejsc (duża scena) i 216 w tzw. małym teatrze. Nowy sezon rozpoczyna się 12 listopada. Tekst i zdjęcia (let)

większą bywa — pisat pewien twórca bajek coś to dwudziest lat temu. I się zgadza, choć twórcą był biskupem i na prawdę się nie znał.

W przypisach prawa pracy jest zapisana taka myśl, że zakład pracy może potrącić swemu pracownikowi część poborów (np. w razie uprzedniej nadpłaty) jedynie za zgodą tegoż pracownika. I słusznie to, i sprawiedliwie. Kto nawalił, niech choć trochę się zegnje.

Tymczasem — Zakład Energetyczny nie jest tu wyjątkiem.

Drugi kwit, to rachunek ze specyfikacją, której zrozumieć się nie da i groźne: „Należność winna być zapłaconą w ciągu 14 dni pod rygorem wyłączenia dopływu energii elektr. i gazu”.

Kupa wątpliwości. Dlaczego „i gaz”? skoro wygłupili się licznik prądu. Dlaczego tak groźnie, skoro „urządzenie pomiarowe” jest przecież własnością energetyków, a nie mego kolegi. Ten rzecz — nie moje matulę i nie mój cyrk, więc po cóż taka draka. W końcu — kto na kogo ma prawo krzyczeć? Wszak kolega w dobrej wierze płacił co mu kazali, planował fundusze, oszczędzał prąd, pozostając w przekonaniu, że jest solidnym klientem solidnej firmy. Przynajmniej po towa tego przekonania wydawała się być pewna. Ale — racja — silniejszego zawsze

Krai Rad — przebudowa i przyspieszenie

TO JEST REWOLUCJA

Półtora roku temu, po pamiętnym plenium kwietniowym KC KPZR, korespondent „LHumanite” zadał MICHAŁOWI GORBACZOWI pytanie:

— Czy zaczęła się u was nowa rewolucja?

Gorbaczow odpowiedział wówczas:

— Jeszcze nie.

Teraz, pod koniec 1986 r., jest już ona faktem.

— Tak, to jest rewolucja — oznajmił radziecki przywódca po raz pierwszy w czasie podróży na Daleki Wschód — rewolucja od góry i przy pełnym poparciu społeczeństwa.

DLACZEGO?

— Wszystko zaczyna się od bytu — mówi prof. J.W. Derbinow z Akademii Nauk Społecznych przy KC KPZR, przypominając klasyczną marksowską tezę. Od tej tezy wychodzi się, analizując przeszłość, ma się ją także stałe na uwadze, planując kolejne etapy „przebudowy” (przebudowy).

Przed wszystkim w latach osiemdziesiątych stało się jasne, że Związek Radziecki nie może rozwijać się dalej w starym gorsecie zasad ekonomicznych. Wyczerpały się źródła rozwoju ekstensywnego. Ważnym sygnałem, iż tak się dzieje, był narastający kryzys w resecie pracy. Coraz to inna gałąź gospodarki sygnalizowała narastającą liczbę wolnych miejsc. Można było temu zaradzić jedynie śmiałymi decyzjami politycznymi, zwłaszcza że stary system funkcjonowania państwa nie sprzyjał intensywnemu rozwojowi zarówno gospodarki, jak i społeczeństwa.

NAJPIERW PRZEBUDOWA GOSPODARKI

— Przed wszystkim — mówi prof. Derbinow — jest tylko jedno wyjście: intensyfikacja. Szerokie wdrożenie postępu technicznego, rozwój nauki, nowoczesna organizacja pracy. Inaczej mówiąc: potrzebne są nowoczesne maszyny i lepsza praca ludzi. Nabiera więc ogromnego znaczenia branża budowy maszyn. Na jej intensyfikację przeznaczamy najbliższe pięć lat. Ale żyć trzeba już dzisiaj. Aspiracje ludzkie rosną. W człowieku więc zwyciężyła potrzeba rezerwy, które tam drzemla.

Wyzwolił... Czy to takie proste? Oczywiście — nie. Stare nawyki, zrutowizowane metody zarządzania, mało zróżnicowany system plac, inercja, układy nieformalne wyrosłe na starych zasadach — to wszystko, przeszkadza. I z tym, toczy się walka.

Brygady organizujące sobie pracę, dzielące uzyskany efekt finansowy w zależności od wkładu pracy poszczególnych jej członków, zielone światło dla racjonalizacji i wyeliminacji, podniesienie świadomości dyscypliny pracy (nie zarządzanie ogólnym tylko, a presją chęciach dobrze pracować i zarabiać), a więc w gruncie rzeczy rozwój socjalistycznych stosunków pracy przynosi w niektórych zakładach kwartalny przyrost produkcji rzędu 5—6 proc.

Inny objaw: przestało wstrząsać zapotrzebowanie na nową siłę roboczą. W niektórych branżach redukuje się liczbę zbędnego personelu.

Nie wszystko jednak toczy się tak gładko, mimo zielonych światel i zachęt z góry. Hamulce, które włączają przyzwyczajeni do ręcznego sterowania biurokraci, to jedno z dwóch głównych niebezpieczeństw. Drugie — to brak dostatecznej woli do zmian wielu ludzkich kolektywów, brak dostatecznej śmiałości. — Jak możemy sami sobie zaplanować pięć lat, kiedy nie znamy cen

ny wyjazd koleją nie dojdzie do skutku. Co wtedy zrobić z biletem? Teoretycznie — zwrócić, ale PKP odbiorą sobie za karę połowę wartości biletu. Czy przez moją rezygnację choć jedno miejsce w pociągu nie zostanie wykorzystane. Ależ skąd. Więc o co chodzi? O zgodność z przepisami, które dla własnej wygody ustaliła sobie kolejna firma. Odpowiedzialność i ryzyko ponosi tylko pasażer, a koleją — nikomu kto wykupił bilet nie gwarantuje przejazdu w godziwych warunkach.

Kto nawalił niech się zegnje

Coś nam się podobne postawia rozplenit. Oto matka wysłała pieniądze synowi studiującemu w innym mieście. Ten ich nie otrzymuje, „bo się zapodział”. Jak długo musi czekać matula, aby odzyskać te forsy? Nie mniej dzieje się w głowach przepisów, a świstek, że kobieta po wierzła swoje udzielił pieniądza firmie państwowej, to sobie może usadzić. — Ze trzeba się zapożyczyć, że za pół roku ta forsa się cokolwiek zdevaluje, a coż to obchodzi kogo?

Zdarza się, że wskutek rażących kłopotów planowa

trajnych priorytetów? — pytają niektórzy. — Jak układać plan bez żadnego schematu? Skąd wziąć pieniądze, jeśli nie z centrali? Uprawnienia są więc dane, a oni się nie spieszą — mówi redaktor naczelny dziennika „Socjalistyczna Industrija”. — Wykorzystują to natychmiast biurokraci, mówiąc: „A widzicie? Nie potrafili! Trzeba pomóc”. I okazuje się, że prawie 50 proc. zakładów działających w ramach eksperymentu samodzielności zmuszanych jest do konsultacji w ministerstwach.

ROLA ŚWIADOMOŚCI

— Zadna przebudowa, również ta psychologiczna, kiedy jakiś schemat funkcjonował wiele lat — mówi prof. Derbinow — nie dokona się od reki. Reformujemy najpierw gospodarkę, żeby uzyskać lepszą bazę do dalszych zmian. Już zresztą one idą — w sferze życia społecznego i kulturalnego. Wzrasta aktywność rad narodowych i samorządów lokalnych. Teraz trzeba tylko czasu, cierpliwości i zdecydowanej woli.

Tę wolę obecne kierownictwo radzieckie ma. Stąd po kwietniowym plenium i XXVII Zjeździe KPZR taką wielką rolę przywiązuje się do jawności życia publicznego i krytyki. Nikt nie ma prawa być spod niej wyłączony.

Przez radziecką prasę płynnie więc fala krytyki. Piętnowani są „hamulcowi przebudowy”, w zakładach pracy i na stanowiskach państwowych. Krytykowane są niebystro mobilne brygady i ministerstwa. Biuro Polityczne KC udziela nagan pierwszym sekretarzom w republikach i „dłabiastkach”. Nie ma świętych krów. Tam nadaje Moskwa. „Osiągnięcia, jakie mamy, każdy widzi” — mówi się w Komitecie Miejskim — a niedociągnięcia trzeba wykrzywać”. To zdanie powtarza się tym, którzy niepokoją się, czy nadmiar krytyki nie zachwieje tzw. proporcji. Przy czym dodaje się najczęściej drugie: „Jeśli za tym idą naprawdę złe i nowe konstruktywne działania, a ludzie to wiedzą, to efekt w świadomości społecznej jest większy niż tysiące penów o sukcesach”.

I Moskwa pokazuje całemu Krajowi Rad jak trzeba. Likwiduje szeroko rozgałęzioną szajkę przestępczą wśród pracowników handlu: zapada surowe wyroki: i dla ekspedientek, i dla dyrektorów. Po raz pierwszy od 50 lat — jak mówi przechodzący w dzienniku „Wremia” — stolica ma tak dobre zaopatrzenie w warzywa i owoce. W budownictwie mieszkaniowym wykrywa się fałszywe, nie istniejące domy (odpowiedzialni ponoszą konsekwencje służbowe i partyjne), a budownictwo przechodzi wreszcie na nowe technologie, wzrasta liczba mieszkań rocznie. Zmienia się system rozliczania zakładów mienszych (odpowiedzialni... itd.), który sprzyjał wykonywaniu planów mimo rozkradania co trzeciego kilograma mięsa. W fabryce „Moskwić” miejscowa gazeta odkrywa, że w supermodernym z wyglądu wozie, nowoczesne jest tylko nadwozie, silnik zaś sprzed 20 lat, wprawdzie ten sam, za którego zakład otrzymał kiedyś nagrodę w Paryżu, ale czas, przecież leci. A tyle było szumu w gazetach, że w ramach przebudowy itd. Odpowiedzialni ponoszą... Dzisiaj, w pół roku po aferze, nowy moskwić ma już odpowiedni silnik.

Moskwa nadaje ton, ale na Moskwę patrzy bez przesady cały kraj. Tu jest bowiem tygiel radzieckich przemian. Tu rodzi się najwięcej śmiałych myśli i koncepcji.

— Słowa są siłą — mówi prof. Derbinow — pod warunkiem, że zmieniają bazę. A wtedy to jest naprawdę rewolucja.

Korespondenci zagraniczni, przyjeżdżający teraz z Kraju Rad, chętnie używają tego słowa.

WOJCIECH PIELECKI

A jak nawet pęknie, co to? Flak.

Rzecz sprowadza się do wymiaru ogólniejszego do pojęcia arogancji. Arogancja otóż (np. władzy) — a władza to przecież ci wszyscy, którzy dyktują jak mamy postępować? to wcale nie jeden czy drugi nie wychowujący urzędnik. Jemu zresztą nie trudno przyłożyć. Prasa aż zachłystuje się możliwościami przykopania herbacianej panience z okienka. I słusznie. Arogancja więc to między innymi stwarzanie takich to mów przepisów nie liczących się z pocuciem rzeczywistości obywatelskiej uczestności.

Czy osoba stanowiąca przepisy myśli, jak rzeczywistość odbija się on na samopoczuciu człowieka, jak pozwoli urzędnikowi (pocucie, zakładów energetycznym, kolejom) wypełniać ich służebną rolę? Nie z tych rzeczy.

Zapewne w odpowiedzi na ten felieton przeczytam, że wspomniane i inne firmy mają prawo stanowić takie prawo. I będzie wszystko w porządku. Ohoho. Bedzie? Nie! Bo wobec tego, jakie prawo ma obywatel? Ma prawo płacić czy uważa to za sprawiedliwe, czy też nie. Ot i tyle.

A swoją drogą — do czegoż to jeszcze dojdzie? Te wątpliwości stawiał swego czasu Tadeusz Boy-Zeleński, pisząc (wprawdzie o zabytkach): „I płać tu czeleku po całym wteku kosztu rebelii Kościuszków”.

Kelner — płacę! Ile? Cztery osiemdziesiąt pięć plus opłat pocztową. I nie — w magam.

ZBIGNIEW KRZYWICKI

SKRZYDLATE DACHY NAD TEDONG-GANG

Chłodny, październikowy świt zwiłł mnie do okna. Przed tygodniem zdjęto moskitiery, co oznacza, że o tej porze roku można wypuszczać do pokoju świeże powietrze bez obawy o inwazję owadów. Stoję tak od godziny, obserwując po raz kolejny z rzędu budzący się Phenian. Mój ostatni poranek w Korei. Jest szósta. W odległej o 9 tysięcy kilometrów Polsce zegary wybiły godzinę 22.

Pierwsze promienie słoneczne wypłynęły z fasady i dachów budynków wielobarwne neony. Na skrzyżowaniu ulic Synri i Podymu samotny milicjant w błękitnym mundurze spaceruje w oczekiwanym na wzmożony strumień ciężarówek mercedesów, volvo i toyot. Tymczasem swoje czynności porządkowe kończą schludnie ubrane kobiety w niebieskich chusteczkach z daszkami. Za jakich czas pojawia się tu znowu na trzykolorowych rowerach wozaki. Pod oknami grupą mężczyzn i kobiet — pracowników hotelu — zamiatają chodnik z opadłych liści. Z bocznej ulicy, z podziemnego przejścia, od strony

wan z górującym nad miastem czterdziestopiętrowym hotelem „Korio” wyłożonym milionami polysklowych ceramicznych płytek. Monumentalna Brama Tryumfalna, w której łuku od strony ulicy Kesong rysuje się dwudziestometrowy posąg Kim Ir Sena wzniesiony przed Muzeum Rewolucji Koreańskiej na wzgórzu Mansude oraz — równie monumentalna rzeźba konia Chollima — symbol koreańskiego przyspieszenia. Skrzydlate koń, niosący na grzbiecie meczownicę z księżką w dłoni i kobietę ze snopem ryżowych kłosów pokonuje codziennie dystans tysięcy li. Jeden li to około 400 metrów, dokładnie: 0,393 km. Według starej legendy wschodniej, gryf, o gromnym piaku wznosił się niegdyś na wysokość dziesięćdziesięciu tysięcy li. Ale to legenda.

Współczesna rzeczywistość urealnia mit skrzydlatego konia. Pokazuje to każdy, wzniesiony w tym kraju budynki, nowy zakład pracy, każdy metr wyrwanej ziemi. „Manri kildo han korymyro sidaktuenda” — „Inajdalsza droga zaczyna się od

Pospiesznie przeglądam gęsto zapisane noty, zanim po raz ostatni wyjdę na pheniańska ulicę. Co w reporterskich relacjach potraktować jako sprawę najwyższej wagi, a co jako drugorzędne? Konglomerat wrażeń i wniosków. Za oknem co chwilę rozlega się klaskany samochodów. Mój kierowca — wirtuoz, jak sądzę, koreańskich dróg, z niewątpliwą szybkością lawirował w czasie podróży pomiędzy kolumnami ciężarówek, dywanami suszonej wprost na zosi kukuurydy, dwukółkami zaprzęgniętymi w woły. Zatrzymał się zawsze, kiedy chciałam utrwalić na kliszy fragment ryżowiska, ludzi ładujących snopy na przyczepę czy „ulatającą” w niebo altanę z podwiniętym dachem na szczycie góry.

Widziałam sady owocowe w Ka li nad brzegiem Morza Żółtego i ekipę, która w górach kreśliła sceny do kostiumowego filmu z epoki Korio. Spentrowałam muzeum historyczne, rewolucyjne, galerie sztuki i instytut haftu artystycznego. Asystowałam przy operacji w przypominającej pałac klinice położniczej i wazyłam w dionie garście tradycyjnych koreańskich leków na apteczkę innego szpitala.

Co zatem będzie ważniejsze: Uniwersytet im. Kim Ir Sena czy tygodniowy żłobek z podgrzewaną podłogą? Rozmowa z głosnymi koreańskimi aktorami w wytwórni filmowej czy wzniesiona w ciągu roku wytwórnia cegły silikatowej wraz z osiedlem mieszkaniowym i całą infrastrukturą pod Siniydu przy granicy chińskiej? Plantacja korzenia insam (po chińsku — żeń-szeń) pod Kesonem czy hodowla hurmy — pięknie owocujących drzew hebanowych? Wystawa przyjaźni w górach czy pięciometrowej wysokości mur z żelazobetonu, który oddzielił dwie części Korei w porządku 240 kilometrów. Fotografowałam go w deszczu, z najwyższego wzniesienia, gdzie mieści się frontowy punkt obserwacyjny koreańskich oficerów. W ostatnim dniu pobytu w Phenianie odnalazłam pułkownika Mieczysława Kowieskiego — wiceprezesa polskiej misji w Panmunjomie. Umówiliśmy się na rozmowę w Warszawie w grudniu.

Wicę co jest ważniejsze: wielkie pokazy sprawności i zręczności koreańskich dzieci czy ich tradycyjne stroje czopori — z rekawami w kolorach tęczy. Sławna koreańska potrawa kuksu w restauracji „Chonhni” nad rzeką Pothong czy talerz sojowych kiełków przyrządzonych przez uroczą LI JON OK w jej przytulnym mieszkaniu na 20 piętrze Fabryki samochodów ciężarowych we wnętrzu góry w pobliżu Tokchon czy zbiorniki irygacyjne w Liren-ri, podnoszące wodę o 18 i jeszcze o 3 metry. Tu ziemia pod uprawę eksploatowana jest do maksimum. Korea Północna to góry. Zaledwie 15 proc. gruntów nadaje się pod uprawę, więc i grobelki między poletkami ryżu obsadzone są soją, a kukurydza wstępuje na coraz wyższe stopnie wyrabane w zboczach wzgórz.

Trzeba trochę dystansu, kilka dni na uporządkowanie myśli. Na frontonie Pałacu Pionierów widnieje hasło: „Nie zazdrościć światu”. Koreańczycy nie zazdroszą chyba. Tak myślę. — Mam nadzieję, że nie musi zebrać. Pracujemy pod mądrym kierownictwem wielkiego wodza Kim Ir Sena i drogiego przywódcy Kim Dzong Ila. Teraz najważniejszą sprawą jest doprowadzenie do pokojowego zjednoczenia Korei. Wiele rodzin nie wie o sobie nic od czterdziestu lat. A dobrobyt? Coż, przyjdzie pora i na to. Wicę trzeba chcieć zrozumieć mentalność tych ludzi ciężko, ofiarne pracujących, zmęczonych i pogodnych. Przynajmniej spróbować zrozumieć.

Poznałam tu dziesiątki serdecznych, życzliwych ludzi Skromnych i pracowitych. Pościągami i samochodami przejechałam około 2 tysięcy kilometrów. Nocowałam w górskim hotelu i nad Morzem Żółtym. Przez wiele nocnych godzin trwały długie rozmowy z obokojakami i Polakami, którzy pełnią w Korei odpowiedzialne misje. Różne spojrzenia na ten kraj, różne doświadczenia, kalejdoskop informacji. Ich kopalnia okazał się inż. Henryk Rybak, który od blisko dwóch lat nadzoruje budowę w Korei Północnej zakładów cegły silikatowej. Można uwierzyć w fascynację, jeżeli trwa tak długo.

KRYSTYNA KONECKA
Fot. AUTORKI

c. d. ze str. 1

po prostu za małą pamięć. Ale pomocne bywają np. przy opracowywaniu wyników wszelkich pomiarów. Zakupione zostały głównie z myślą o dydaktyce. Oprócz typowej obliczeniówki każdy z nich może być także włączony do prac eksperymentalnych. W jaki sposób to się odbywa, zobaczymy wkrótce.

Z dr. hab. Ludwikiem Dobrzyńskim, który skończył właśnie wykład, idziemy do pracowni badań jądrowych fizyki ciała stałego. Na razie jest ona w stadium rozruchu, ale może jeszcze w końcu tego roku uda się rozpocząć działalność badawczą. Spektrometr Mössbauera już pracuje. Swoją start zawięzła magistrówi Krzysztofowi Szymańskiemu, który uruchomił go jako jeden z najmłodszych pracowników katedry.

Drugi spektrometr, rentgenowski, służący do badań subtelnych efektów tzw. dyfrakcyjnych występujących w zjawisku uginania promieniowania rentgenowskiego przez kryształ — czeka aktualnie na serwis.

Jedno z pomieszczeń pracowni. Główne miejsce zajmuje w nim fragment spektrometru comptonowskiego. Jest to

PIERWSZE TEGO TYPU URZĄDZENIE W POLSCE

i jedyne do tej pory w krajach socjalistycznych. Na świecie funkcjonuje ich podobno siedem. Ten rodzaj spektrometru przeznaczony jest do badań struktury elektronowej ciał stałych, metali, stopów. Wkrótce powinien już działać. — Pozwoli nam on na możliwości najczulszą weryfikację opisu teoretycznego — mówi L. Dobrzyński. — Potwierdzi, czy nasze rozumienie tego, co się dzieje w ciele stałym, zarówno „typu kryształ”, jak i w pojedynczej cząstce (molekuła) — jest właściwe.

Obok duża żółta butla — to pojemnik na ciekły azot, który chłodzi jedną z części układu, detektor półprzewodnikowy, spełniający rolę taką, jak powiedzmy obrazowo, wątroba w organizmie. Część elektroniczna związana z mikrokomputerem zajmie się analizą i zbieraniem danych. W oryginalnym eksperymencie sytuacja będzie wyglądała w ten sposób, że sercem układu jest źródło promieni gamma. Włażka fotonowa, czyli inaczej mówiąc, porcja promieniowania elektromagnetycznego działa na próbce, rozprasa się do detektora i umożliwia badanie ruchu elektronów w ciele stałym.

Jest to unikalne urządzenie, z którym Katedra wiąże ogromne nadzieje, zwłaszcza z punktu widzenia poznawczego. Cały zaś zespół pozwolił z jednej strony na efektywne nauczanie studentów, szybko wprowadzenie ich w nowoczesną naukę i sposób eksperymentowania, a z drugiej — umożliwił fizykom wnikliwe dotarcie do wielu interesujących zjawisk.

Ruszyliśmy dalej. Moja wiedz na temat granatów była

do tej pory, przynajmniej, zaawansowana skromna w porównaniu z tym, co za chwilę usłyszałam. Wiedzałam, że należą do grupy minerałów mających zastosowanie w jubilerstwie jako kamienie półszlachetne bądź do szlifowania szkła, porcelany i że w Polsce występują w niewielkich ilościach na Dolnym Śląsku.

Mgr Luba Uba wprowadza mnie w inny, bardziej skomplikowany

ŚWIAT GRANATÓW.

Jesteśmy w pracowni naukowej fizyki magnetyków. Tu-

łych do tej pory cech fizycznych. Podobnie się dzieje przy topieniu lodu, które też jest pewnego rodzaju przejściem fazowym.

Badania zarówno struktur domenowych jak i przejść fazowych dokonywane są metodami magnetoopiecznymi o partym na analizę stanu polaryzacji światła. Mimo szczegółowych objaśnień mgr Uby, nie podejmuję się opisu. Każde pojęcie niesie za sobą parę innych, nie dających się przełożyć na język potoczny. Kapitułuje.

Oglądamy układ, gdzie eksperyment sterowany jest przez komputer, co pozwala na

BLIŻEJ FIZYKI

taj studenci wykonują zadania w ramach pracy magisterskiej. Natomiast pracownicy nauki prowadzą tu mikroskopową obserwację tzw. struktur domenowych w granatach. Domena w ujęciu fizyki oznacza niewielki obszar w materiale, odznaczający się samoradną polaryzacją (bez udziału zewnętrznej pola magnetycznego). Po prostu taki mały magnesik.

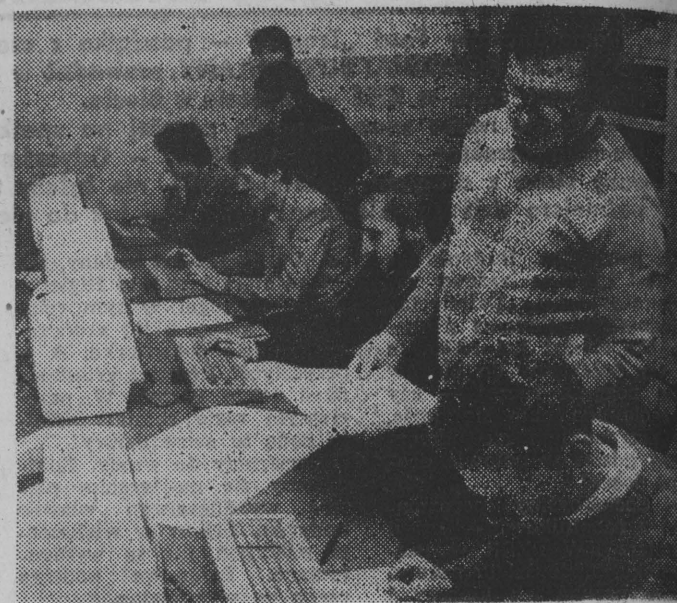
A teraz coś bardziej konkretnego. Na domachen oparte jest działanie wielu urządzeń odgrywających istotną rolę w magnetycznym zapisie informacji.

Oprócz struktur domenowych przedmiotem obserwacji naukowych są także inne zjawiska występujące w granatach, np. przejścia fazowe, czyli przemiana termodynamiczna polegająca na znikaniu (stopniowym lub nagłym) jednej fazy, a pojawieniu się na jej miejsce innej. Wygląda to mniej więcej tak, że jeżeli magnes zostanie poddany działaniu dostatecznie wysokiej temperatury, wówczas jego właściwości zanikają. Następuje przewartościowanie sta-

zybkie wprowadzanie zmian różnych parametrów — wielkości pola magnetycznego, temperatury, długości fali światła. Na bieżąco podawane są wyniki: graficznie za pomocą drukarki bądź na dyskach pamięciowych podłączonych do mikrokomputera. Bardziej skomplikowane obliczenia mogą być automatycznie przesyłane do komputera głównego.

Rozwój tej pracowni zapoczątkował jej obecny kierownik, dr Andrzej Maziewski. Jako autor rozprawy doktorskiej z dziedziny cienkich warstw magnetycznych, przed paroma laty był współautorem niekonwencjonalnych metod pomiarowych, które zyskały duże uznanie wśród fizyków. Obecnie powstało wiele innych układów umożliwiających pomiary w bardzo różnych warunkach prowadzonego doświadczenia.

Kiedy zagłębiamy do następnego pomieszczenia, od progu powstrzymuje nas uwaga: „Proszę niczego nie dotykać. Układ jest bardzo czuły, reaguje na najmniejszy wstrząs lub drgnienie”. Student ostatniego roku, Krzy-



Komputery w pracowni informatycznej rzadko odpoczywają.

sztof Brzasko, właśnie dokonuje pomiaru nachylenia namagnesowania w warstwach granatu. Jest to bardzo precyzyjne badanie metoda o partu na efekcie Faradaya, ale idea dość prosta — powiada młody adept fizyki. Bezpośrednia mierzona wielkością jest płaszczyzna polaryzacji światła przechodzącego przez badaną próbkę. Na tej podstawie droga odpowiednich obliczeń, a następnie analizy numerycznej można określić wartość namagnesowania w konkretnej próbce materiału, co jest dość istotną informacją. Nie pozostaje nam nic innego, jak przytaknąć.

Badania, których byliśmy akurat świadkami, stanowią część programu centralnego, wykonywanego przez Katedrę Fizyki Filii UW, która bierze udział w realizacji pięciu takich programów.

Fizyka białostocka kształtuje się coraz wyraźniej swoje oblicze — podkreśla doc. Święcki — Nasze badania doświadczenia w fizyce ciała stałego a także budowane tutaj zestawy pomiarowe znane są już w całym kraju. Ceniona też jest białostocka

FIZYKA TEORETYCZNA

o której nie zdążyliśmy jeszcze porozmawiać. Kierownik Katedry sam jest teoretykiem i pewnie dlatego

ten rodzaj pracy naukowej pozostawił na koniec. Fizyka teoretyczna — mówi — nie sposób zilustrować. A przecież stanowi o jądro fizyki w ogóle. Nie może być wątpliwością o gospodarczym czy kulturowym znaczeniu badań podstawowych.

Fizyka teoretyczna w białostockim wydaniu skupiona jest wokół badań dotyczących podstawowych sił przyrody. Swoisty styl tej działalności stał się znany między innymi poprzez ogólnopolską konferencję organizowaną cyklicznie od paru lat w Białymstoku przez dr. Anielę Osiadłową. To wszystko sprawia, że w ostatnich miesiącach zaczęli się interesować podjęciem na stałe zatrudnienia w Białymstoku samodzielnymi pracownikami nauki z Warszawy, Wrocławia i Katowic.

Kolejny fakt. Dziesięciu pracowników Katedry utrzymuje stałe kontakty z ośrodkami naukowymi we Francji, Włoszech, Anglii, Bułgarii, NRD, Czechosłowacji.

Doc. Tadeusz Krogulski i dr Ewa Rondio biorą udział w międzynarodowych konferencjach, które firmuje Centrum Białostockie. Uczestniczą w nich najwybitniejsi specjaliści z całego świata. Dwójka Polaków w takim składzie dobrze świadczy o poziomie uniwersyteckiej fizyki. I co ważne, szansę dalszego rozwoju są widoczne.

Przedobnie za dwa lata Katedra Fizyki uzyska prawo nadawania stopni doktorskich a w ciągu następnych dwóch lat przekształci się w wydział. W tym optymistycznym obrazie jawi się jednak cień niejasna rysa. Chodzi o spadek zainteresowania tym kierunkiem nauki wśród młodzieży. W Białymstoku studiują ok. 100 osób na pięciu rocznikach. — Stanowi to problem całej polskiej fizyki, który — mówi doc. Święcki — powinien niepokoić, tym bardziej, że na całym świecie sytuacja jest wręcz odwrotna. Jedynie wycisze widzę w podniesieniu atrakcyjności studiów. Nie można myśleć o Polsce XXI wieku bez rozwoju nauk przyrodniczych, których fizyka jest niekoronowanym królem.

ALICJA ZIELIŃSKA

Fot. Zdzisław Lenkiewicz



Bogato zdobiony dach starej świątyni buddyjskiej.

rzecki Tedong (rzeka to po koreańsku: gang) idą spiesząc w sobie znanym kierunku mężczyźni w garniturach, kobiety z drepcami obok barwnie ubranych dzieci lub z niemowlętami przutulonymi do matczynych piersi. Do szkoły, do przedszkola, do żłobka. Do pracy. Z każdą minutą jest ich więcej. W obie strony mkną zatłoczone autobusy i trolejbusy. Kilka dni temu przesiadywał tu, na placu, na chodnikach i ulic wielotysięczny tłum odświętnie ubranych mieszkańców stolicy, w oczekiwaniu na przyjazd Ericha Honeckera. Stąd wszyscy przeszli, na trasę przejazdu gościa, ta sama, która we wrześniu przemierzał Wojciech Jaruzelski. Witali go tak samo: spontanicznie, gorąco, z pieśnią, tańcem i kwiatami.

Po drugiej stronie ulicy niedługo przyciąga wzrok zwarta bryła Teatru Wielkiego, którego ściany zdobią charakterystyczne dla tej sztuki architektury wielometrowe, barwne mozaiki ilustrujące sceny z walki i życia ludu koreańskiego. Jak lekko nad tą budowlą unosi się skrzydła kombinacji dwu- i czterospadowych dachów w stylu hapkaek z rogami mleko wygiętymi ku niebu. Jest ich w Phenianie wiele: na starych, zrekonstruowanych wrotach, pamiętających twierdzę z epoki państwa Koguryo, na zabytkowych pawilonach i altanach. Zdobą bogactwem kształtów i błękitem ceramicznych dachówek Narodowy Pałac Kultury i monumentalny Narodowy Pałac Nauki w stolicy oraz wspaniały obiekt Wystawy Międzynarodowej Przyjaźni w górach Miohjang. Otulają partierowe domki chiopskie w Cansuwonie i świątynie o czerwonych ścianach strzegąca spokoju grobowca króla Ta Mja sprzed półtora tysiąca lat.

A pomiędzy tym wszystkim i ponad to wszystko — urbanistyczny rozmach dwudziestego wieku: wysokości przy stolicznej, ulicy Czhang-



W górach Miohjang zrywa się do lotu wspaniały gmach Wystawy Międzynarodowej Przyjaźni.

Na XX Międzynarodowy Rajd Warszawski wybrałem się bez większych emocji — nie jechał przecież nikt z Automobilklubu Podlaskiego. Miałem jednak nadzieję, że zobaczę wiele ciekawych imprez towarzyszących — motofestyn, wyścigi motocykli i gokartów. To co zaplanowaliśmy — obejrzałem i swoimi spostrzeżeniami podzieliłem się z czytelnikami „GW”. Ponieważ w rajdzie nie startowali białostoczanin, o czym dalej pisać?

Można zastanawiać się nad sensem publikacji, gdyby nie... liczne publikacje w prasie centralnej, terenowej i informacyjnej w telewizji.

Maich szanownych kolegów po piórze zafascynował skandal, jaki miał miejsce już po zakończeniu rajdu, a więc po całej imprezie! Wróćmy jednak na trasę rajdu.

Pierwszy odcinek specjalny (OS-1) prowadził ulicami Warszawy — od ul. Sanguskiej po Konwiktorską — i przypominał jako żywo wyścig uliczny. Zagonili kibice rajdów samochodowych tłumnie obstawili całą długość trasy. Było na co popatrzeć! Piękne, bardzo szybkie przejażdżki na mokrej nawierzchni były dużą sztuką, tym bardziej, że zdecydowanie większość aut miała na kołach opony typu „sliek” — gładkie, przystosowane do ścigania się na suchych nawierzchniach. Wozy serwisowe z innymi rodzajami ogumienia wychylały już na trasę rajdu, na umówione miejsca przed OS-ami z szutrową nawierzchnią.

DESZCZ — JAKBY NA ZAMÓWIENIE

— spadł tuż przed rozpoczęciem tej próby sportowej! Kibice, mimo przenikniętego zimna oklaskiwali nie tylko zawodników z pierwszymi numerami startowymi — czekali na przejazd ostatniego Fiatu 126P! Tak było również na poszczególnych próbach sportowych, po zapadnięciu zmierzchu, nawet w środku nocy. Zawodnicy z pierwszego „razu” byli już na starcie do OS-2, kiedy po ul. Sanguskiej, Konwiktorskiej i Widostradzkiej turlali się jeszcze „maluchy”. I to jest w tym sporcie piękne — zagotowali kibice i zawodnicy zmagający się z własnymi słabościami i awariami swoich aut. Nie jest tematem do pieśni pochwalnej to, że J. Szerla czy M. Bublewicz kieruje Polonami wyposażonymi w bardzo mocne silniki, superspecjalnie przygotowanymi, a to że posiadacze Fiatów 126P tonąc po uszy w długach — obciążeni wydatkami na dobre przygotowanie wozu — poświęcają całe dnie i noce na grabieżnie się przy swoich autach, wręcz stojąc je przed każdym rajdem!

Obserwujemy tych najlepszych, ale np. w tym rajdzie wystartowało 28 Fiatów 126P — w różnych grupach. W polocznej opinii, ludzie jeżdżący w rajdach to milionerzy. Pozostaje faktem, że jest to sport bardzo kosztowny, że można się w to bawić, ale bardzo dużym nakładem sił i środków. Praktycznie znikoma część rajdowców to ludzie zamożni, zdecydowanie większość — prosi mi wierzcie — przez całe lata starostwo ma kłopoty finansowe i nie tylko...

Baża niejako do każdego rajdu są właśnie posiadacze Fiatów 126. Wyrzućmy z listy startowej, w każdej z poszczególnych eliminacji rajdowych samochodowych mistrzostw Polski „maluchy”, to na starcie zobaczymy kilkanaście, w najlepszym razie 20 do 30 aut. Fiaty 126P stanowią mocną podstawę zawodnictwa w Polsce.

Formuła nieudolności



Ludzie jeżdżący samochodami fabrycznymi, jak np. nie posiadający dotychczas homologacji Polonami 2000 to zupełnie inny świat. Fiaty 126 — a jest ich coraz więcej — walczą między sobą i to wcale nie o pietruszkę. Tytuły mistrzów Polski są, o bielek, w nie patrzeć, dużym osiągnięciem sportowym, na które trzeba rzetelnie zapracować. Fiaty 126 są wprawdzie autami tak nadającymi się do jazdy sportowej, jak przyszłowiwo do karety. Ale skoro nie stać nas na masową produkcję aut rzeczywiście nowoczesnych, robimy wszystko, żeby rajdowym odbywało się na tym czym dysponujemy. Jeżdżymy albo nie — trzeciej drogi nie ma.

Po tych rozważaniach wróćmy jednak na trasę rajdu. Jadący na czele zawodnicy z niejakim zdziwieniem stwierdzili, że na wyznaczonym starcie do kolejnej próby, która był OS-2 nikogo nie ma! Organizatorzy spóźnili się z jej „obstawieniem”. Jak sięgnę pamięcią, niczego podobnego nie było na imprezach organizowanych przez

działaczy Automobilklubu Podlaskiego, choć były to zawody znacznie niższej rangi.

Kolejne odcinki prób sportowych przebiegały bez większych zakłóceń. Trasami, po których poprowadzili je działacze Automobilklubu Warszawskiego, można było przejechać — bez ryzyka uszkodzenia zawieszona — tylko bojowym wozem plechoty. Od lat zastanawiam się i nie mogę znaleźć odpowiedzi na pytanie: komu zależy, żeby wozy rajdowe tak maitretowały? Czy kierowcy muszą nchać auta — przez trzęsawiska, czy też rozwalając zawieszona na obręczach dołach? To nie są przecież poligony do testowania wozów terenowych z napędem na obie osie, a rywalizacja samochodów osobowych. Te spostrzeżenia potwierdził wspaniały kierowca, z którym rozmawiałem: ta trasa to

DNO, TYŁE Z BEZ MULU

Ale za to z kamieniami! Przerwa poła w Nowym Mieście Lubawskim. Rzuciłcie oświetlony rynek a na nim mrowie aut. Zadane z nich nie wyszło obronną ręką, a raczej kołem. Błyski aparatów do spawania, przy autach podniesionych na boki, szum i gwar; słowem czas na naprawę przed kolejnymi próbami, a trzeba wiedzieć, że najgorsze jeszcze przed zawodnikami i ich ojazdami. Na marginesie — na ten rynek zaprosił „speców” od napraw samochodowych, żeby popatrzyli jak szybko i oreczywnie można naprawić auto. Duża uśmiechnięta, a przy tym — to będzie najważniejsze słowo — zaangażowanie mechaników w poszczególnych zespołach. N. dalsza trasa rusza 87 a łóg spośród 83, którzy wystartowali.

Udało się nam — kilku dziennikarzom, którym organizatorzy udostępnił bardzo wygodny dojazd — dostać się na trasę kilku OS-ów. Odbryzmya precyzja kierowania przy dużych prędkościach, na bardzo nierównych nawierzchniach, może budzić autentyczny podziw.

Bez większych opóźnień rajd dotarł do OS-u 15, o którym to próbie sportowa krężyła kopie „czolowi” publicystów prasowi i telewizyjni. Postraję fakt, że przejechało go kilka aut startujących w pierwszej kolejności. Jest trasa — zmienia o przyczynę zabłokował jadący Polonem 2000 a ni 21. Janusz Szczęś z M. Olekba. Za nim zabierali się najdłuższą kolejką zawodnicy. Po kilkunastu minutach debaty i prób usunięcia zawieszonych, wreszcie udało się całej grupie w porządku, jeden za drugim, podjechać do mety tego OS-u. W tym miejscu należy wyjaśnić, że J. Szerla był kierowcą jednego z fabrycznych Polonów

WIELKIE PRZELOTY

Budzi się czerwcowy świt. 1937 roku. Na podmoskiewskim lotnisku, już od tak wczesnej pory zgromadziła się grupa ludzi: wśród nich, konstruktorzy, dziennikarze, rodziny, przyjaciele...

Przed hangarem stoi dwuosobowy samolot ANT-25. Mechanicy ustawiają się przy nim jak mrówki. Trwają ostatnie przygotowania do wielkiego przelotu. Samolot wyposażony już w niezbędne urządzenia radionawigacyjne, sprzęt ratunkowy, załadowano bagaż, uzupełniono paliwo, sprawdzono silnik.

Załoga samolotu jeszcze studiując prognozę pogody... Potem w radośnym nastroju lotnicy piją mocną, gorącą herbatę. Wczoraj dostali zgodę — od samego Stalina! — na wykonanie tego doniosłego w historii przelotu.

Robi się coraz jaśniej. Lotnisko, jak gdyby przyjechało. Wiebo bielejące i czyste — napowiadają się ładny dzień. Na czerwonych skrzydłach samolotu, mienią się kłębki cioci.

Ostatnie uściśki i trójka lotników: Walery Czałow, Bajdukow i Aleksiej Białokoz, zajmują swoje miejsca w załadowanym do granic możliwości samolocie. Ponownie sprawdzają pracę silnika — jest wszystko w porządku. Czałow wysuwa ręce przez boczne okienko kabiny.

WYSTRZELIKA ZIELONA RAKIETA!

Startowy unosi w górę białą chorągiewkę. Maszyna na pełnej mocy rusza z miejsca. Łopaty śmigła, tworząc srebrzysty kłębek, wrzyna się coraz mocniej w powietrze. Betonowa droga startowa pod sobą „umyka” do tyłu. Pilot stara się dokładnie utrzymać kierunek. Maksymalnie zwiększona ładunkiem maszyna jeszcze leniwie reaguje na ster, jeszcze jest bezwładna... Nie wypaść z pasa! — myśli z trwogą drugi pilot. Bajdukow i Kałom oboje obserwują swego dowódcę. Ale Czałow jest spokojny. W tych trudnych sekundach startu jeszcze raz wysuwa ręce przez okienko i połącznym gestem podrażnia ustawionych przy betonie przyrządów.

Z każdą sekundą stuk pot. wozła staje się łagodniejsze. Samolot kilkakrotnie unosi się na moment i ponownie

wspiera się kołami na beton. — Za małą prędkość — jeszcze odczekać, jeszcze trzymać koła na pasie — myśli pilot. I tuż przed końcem drogi startowej, ściga stery na siebie. Samolot odrywa się — przechodząc nisko nad po walonym (specjalnie do startu) osrodzeniem lotniska.

Drugi pilot szybko schował podwozie i z radością po udanym starcie, całuje Czałowa w policzek — mówiąc: — No, polecieliśmy!... Teraz wszystko zależy od nas!

Nabrali już trzysta metrów. Czałow wsłuchany w odgłosy silnika, pracującego jeszcze na pełnej mocy, krzyczy: — Symfonia! Aleksandra Mikulina! — tak z radością określił Czałow pracę silników.

Wysokość czterysta metrów. Pod skrzydłami przesuwają się znajome nadwozia i miejscowości. Dwa wojskowe samoloty wylatują na spotkanie śmigłaków. Robią pożegnane wiry i znikają w porannej mgiełce.

W dół las nadwozia. Słońce już wysoko. Przypiętnie przyszywa przez osłoniętą kabinę. Czałow sięga po termos z herbatą.

Lecą już kilkanaście godzin. Przed nimi cieknie zwały chmur; za chwilę otulą grubą warstwą samolot, który utonie w nich jak w puchu. Zamiana przy sterach. Specjalnością drugiego pilota — Bajdukowa jest „ślepy pilotaż” — lot „na przyrządy” bez widoczności ziemi. A tu lot pojawia się na szybach, potem na skrzydłach... Cały samolot wibruje! — Straszna siła spycha go w dół!

— Przedzie! — krzyczy Czałow — ciśnienie na urządzenie antyoblodzeniowe! I ręcznie uruchamia pompę. W kabinie rozchodzi się zapach spirytusu. Łód zaczyna powoli opadać... — TYLKO W GÓRĘ!

— Krzyczy po raz drugi Czałow i ponownie uruchamia pompę. Jeszcze pięć minut napięcia i wychodzą z chmur. Samolot pod dobroczynnym działaniem słońca stopniowo oczyszcza się z resztek lodu i obiera kurs na północ. Pod

nimi w okienkach chmur czernieją wody Morza Bałtyckiego. Zamiana przy sterach. Czałow odświeżony po śnie, ma dobry humor. Nawigator Białokoz, pochylony nad pulpitem radiostacji, usłusze odebrać radiogram... Bajdukow sekstantem mierzy pozycję samolotu.

Wyżej! Cztery tysiące metrów. Wyżej robi się chłodno. ANT-25 znów w chmurach... Upiływają pierwsze spokojne minuty, a potem znowu lod zablokował chłodnicę silnika! Załoga przeżywa dramatyczne chwile...

Kto zrozumie, co w takich momentach odczuwają lotnicy, kiedy samolot przeobraża się w bryłę lodu?

Mija sześćdziesiąt godzin lotu. Odezwały się amerykańskie radiostacje. Słychać słaby sygnał radiolaterny lotniska Portland.

Nawigator podaje kartkę: — Według moich obliczeń, benzyna zbliża się do zera! Czałow potwierdza — wszystkie dodatkowe zbiorniki puste... Lot dobiega końca. Schodzą w dół do wysokości stu metrów. Pod nimi rzeka — Kolumbia. Górzyste jej brzozy zakrywa mgła. Nad rzeką wysoka konstrukcja mostu. Skracają w prawo, w stronę miasta Portland.

Obok lotnisko z betonowym pasem. Z wysokości pięćdziesięciu metrów widzą na nim tysiące oczekujących ludzi! — Nie możemy tu lądować! — mówi z okrzykiem Czałow — „ROZPATROSZA” SAMOLOT NA „SUWENIRY”.

Lecimy na drugie lotnisko po przeciwnej stronie rzeki.

Ostrożnie robią wiraż nad miastem i lecą w stronę mostu. Lotnisko za rzeką wygląda na zbyt małe dla ANT-25, z którego przed lotem zdjęto hamulce, zmniejszając ciężar samolotu.

— Ładujemy! — krzyczy Czałow. — Będzie silne hałmowanie!

Lot trwa 63 godziny i 17 minut. Przeleciał z Moskwy do Vancouver (USA), odległość 8532 kilometrów bez lądowania przez biegun północny.

Zaden przelot od czasów Lindbergha nie wywołał w USA takiego zainteresowania. Wszystkie rozgłoski i prasa amerykańska, była pełna komunikatów z historycznego przelotu. Nawizisko Czałowa wymawiała cała Ameryka!

MIROSLAW NIKICIUK Repr. Z. LENKIEWICZ



Dzielną załogę. W środku Walery Czałow.

DYKTERYJKI Z LAMUSA

— Uważam pana za najuczciwszego kupca pod słońcem! — Ja, niestety, nie mogę o panu tego samego powiedzieć. — Nic nie szkodzi. Zrobię panu to samo co ja zrobiłem. Sklam pan.

Stary winiarz przed śmiercią zwołuje swoje dzieci i tak do nich powiada: — Dzieci moje. Zanim opuszczę świat i winiarnię, odkrywam wam tajemnicę mojego

Półowa drogi za nimi. Samolot znów wchodzi w morze chmur. ANT-25 mnie się w górę, na wysokość pięciu tysięcy metrów. W końcu fazy lotu — czekać wysoko Góry Skaliste...

Bajdukow źle się czuje, prosi o zamianę przy sterach, tamuje krwotok...

Wysokość — sześć tysięcy metrów. Wyżej robi się chłodno. Tłenu na jedną godzinę! Lecą w porządek Gór Skalistych w stronę Oceanu Spokojnego. — Zaczynają zniżać się do czterech tysięcy metrów. Pod nimi Pacyfik. Nawigator podaje nowy kurs Czałow krwawi...

Zapadła noc. Fantastycznie i jasno świecą fosforyzującym światłem przyrządy. Paliwa pozostało na pięć godzin lotu. Bajdukow pilotuje samolot — reszta załogi śpi. Z każdą minutą, z lewej strony, jasnieją widnokręgi. Wschodzi słońce.

Mija sześćdziesiąt godzin lotu. Odezwały się amerykańskie radiostacje. Słychać słaby sygnał radiolaterny lotniska Portland.

Nawigator podaje kartkę: — Według moich obliczeń, benzyna zbliża się do zera! Czałow potwierdza — wszystkie dodatkowe zbiorniki puste... Lot dobiega końca. Schodzą w dół do wysokości stu metrów. Pod nimi rzeka — Kolumbia. Górzyste jej brzozy zakrywa mgła. Nad rzeką wysoka konstrukcja mostu. Skracają w prawo, w stronę miasta Portland.

Obok lotnisko z betonowym pasem. Z wysokości pięćdziesięciu metrów widzą na nim tysiące oczekujących ludzi! — Nie możemy tu lądować! — mówi z okrzykiem Czałow — „ROZPATROSZA” SAMOLOT NA „SUWENIRY”.

Lecimy na drugie lotnisko po przeciwnej stronie rzeki.

Ostrożnie robią wiraż nad miastem i lecą w stronę mostu. Lotnisko za rzeką wygląda na zbyt małe dla ANT-25, z którego przed lotem zdjęto hamulce, zmniejszając ciężar samolotu.

— Ładujemy! — krzyczy Czałow. — Będzie silne hałmowanie!

Lot trwa 63 godziny i 17 minut. Przeleciał z Moskwy do Vancouver (USA), odległość 8532 kilometrów bez lądowania przez biegun północny.

Zaden przelot od czasów Lindbergha nie wywołał w USA takiego zainteresowania. Wszystkie rozgłoski i prasa amerykańska, była pełna komunikatów z historycznego przelotu. Nawizisko Czałowa wymawiała cała Ameryka!

MIROSLAW NIKICIUK Repr. Z. LENKIEWICZ

„Dobłą naukę nauczyciela nie sprawi, że przestanie być nauczycielem” (G. Knapski)

— Dziewiętnastowieczne przysłowie powiada: bodajbyś cudze dzieci uczył. Ja najchętniej zmieniałbym je na: bodajbyś był nauczycielem w wiejskiej szkole.

Będzie pani pracowała w ośmioklasowej szkole, ale malej z pięcioma izbami lekcyjnymi — usłyszałam w kuratorium suwalskim.

Napisano do redakcji młoda dziewczyna, która od dwóch miesięcy pracuje w miejscowości odległej o kilkadziesiąt kilometrów od stołecznego Suwałk, zastępczą suwalskiego nauczyciela.

Pisać o oświacie można długo. Każdy dorzuci swój przykład. Aby jednak nie było to kolejnym narzekaniem na samą oświatę, trzeba postawić kropkę nad „i”. Zbyle, wiele akcji, rozdrabniania się, a za mało konkretnych zmian. „Szkoła uczniem stoi”!

W tym roku po raz pierwszy w naszym regionie zmieniły się liczbą nauczycieli bez kwalifikacji pedagogicznych. To bardzo dobrze, tylko na jak długo wystarczy tym młodym ludziom, by pokonywać trudności?

— „Mała wiejska szkoła, pokoi mieszkalny na miejscu, do przystanku autobusowego kilka kilometrów. Jak się okazuje, warunki mieszkaniowe prawie spartaki. Byłam pełna energii, którą mi zaszczytowało w Studium Nauczycielskim. Ale nawet ja, dziewczyna, rodem ze wsi, stawałam się bezradna wobec zaistniałej sytuacji. Oczywiście przyczekano mi wszelką pomoc i metodyczną i finansową.

Rzeczywistość okazała się brutalna. Szkoła mieściła się w rozwalającej się chałupie. O nowej zaczęliśmy dopiero mówić. Tylko trzeba było zastanowić, co to za budować skoro z roku na rok dzieci ubywa.

— Już teraz brakuje węgla, więc w zimie trzeba będzie wybierać się do drewno do lasu. Uczę w klasach łączonych. Najpierw tłumaczę uczniom drugie klasy, a potem z pierwszą klasą. Brakuje najprostszych pomocy dydaktycznych, nie ma sali gimnastycznej. Ze względu na oszczędności nie można odpowiednio zorganizować zajęć z muzyki czy plastyki, a w studium kilka razy słyszałam, że te przedmioty są szczególnie ważne jeśli chodzi o klasy najmłodsze.

— Środowisko wiejskie jest z różnych powodów pustynią kulturalną. Miałam więc ambitne plany i chciałam rozruszać miejscowych, wciągnąć niechętną grupkę młodzieży do działania, ale nikt nie miał pomysłu, że tak tu potrzebnych koleżanek zainteresować żadna nauczycielka nie ma ochoty. Trudno się zresztą dziwić, bo każda ma swoją rodzinę i czasu na wszystko nie starczy.

— Powinno dojeżdżać do miasta, żeby coś przeczytać w bibliotece, może pójść do kina, a najlepiej byłoby wybrać się dwa razy w miesiącu do odległego o 200 km Białegostoku. Ale pytam, kiedy ja mam to robić? Lekcje kończę późno, piszę konspekty, znowu konspekty (już cały zeszyt zapisany), wieczorami przygotowuję się do lekcji łączonych...

— Zalić mogłabym się długo. Takie są te moje dwa miesiące pracy w szkole, która wydaje się, że leży gdzieś na końcu świata. Już dziś rozumiem, dlaczego tak niewiele dzieci wiejskich dostaje się do liceów ogólnokształcących, czegoż ich można nauczyć w takich warunkach? Miałam nadzieję, że będzie tu cicho i spokojnie.

— Powinno dojeżdżać do miasta, żeby coś przeczytać w bibliotece, może pójść do kina, a najlepiej byłoby wybrać się dwa razy w miesiącu do odległego o 200 km Białegostoku. Ale pytam, kiedy ja mam to robić? Lekcje kończę późno, piszę konspekty, znowu konspekty (już cały zeszyt zapisany), wieczorami przygotowuję się do lekcji łączonych...

— Zalić mogłabym się długo. Takie są te moje dwa miesiące pracy w szkole, która wydaje się, że leży gdzieś na końcu świata. Już dziś rozumiem, dlaczego tak niewiele dzieci wiejskich dostaje się do liceów ogólnokształcących, czegoż ich można nauczyć w takich warunkach? Miałam nadzieję, że będzie tu cicho i spokojnie.

— Powinno dojeżdżać do miasta, żeby coś przeczytać w bibliotece, może pójść do kina, a najlepiej byłoby wybrać się dwa razy w miesiącu do odległego o 200 km Białegostoku. Ale pytam, kiedy ja mam to robić? Lekcje kończę późno, piszę konspekty, znowu konspekty (już cały zeszyt zapisany), wieczorami przygotowuję się do lekcji łączonych...

— Powinno dojeżdżać do miasta, żeby coś przeczytać w bibliotece, może pójść do kina, a najlepiej byłoby wybrać się dwa razy w miesiącu do odległego o 200 km Białegostoku. Ale pytam, kiedy ja mam to robić? Lekcje kończę późno, piszę konspekty, znowu konspekty (już cały zeszyt zapisany), wieczorami przygotowuję się do lekcji łączonych...

— Powinno dojeżdżać do miasta, żeby coś przeczytać w bibliotece, może pójść do kina, a najlepiej byłoby wybrać się dwa razy w miesiącu do odległego o 200 km Białegostoku. Ale pytam, kiedy ja mam to robić? Lekcje kończę późno, piszę konspekty, znowu konspekty (już cały zeszyt zapisany), wieczorami przygotowuję się do lekcji łączonych...

Chęci piekło brukuja, a zapal stygnie

To coś z tego, że nie ma tu tryznanowości, że dzieci są spokojniejsze, że bardziej zapracowane w swojej panii. Zazdrościsz swoim koleżankom ze Studium Nauczycielskiego, które pracują w szkołach miejskich?

— Gdy spotykam się z moimi koleżankami ze szkoły średniej na jakiejś towarzyskiej herbatce i po pewnym czasie mówię im, że muszę biec do domu, bo do każdej lekcji trzeba się starannie przygotować, a jutro mam ich pięć — to patrzą na mnie ze zdziwieniem lub się śmieją...

DOROTA BUZA w czerwcu ukończyła Studium Nauczycielskie w Oleku, a od września pracuje w Szkole Podstawowej nr 3 w Goldapi.

— Gdy byłam uczennicą, zazdrościłam nauczycielom i myślałam: im to dobrze, przychodzą na lekcje, a po szkole mają wolne. A ja muszę wrócić do domu i zabrać się do odrabiania słówek, bo następnego dnia może być sprawdzian. Od dwóch miesięcy myślę: jak tym moim pierwszacom dobrze...

Wychodzę ze szkoły, coś tam w domu zjem i zasiedam do pisania konspektów. Planuję jak będzie wyglądał język polski a jak muzyka, zastanawiam się nad tematem lekcji, nawet przygotowuję sobie pytania, bo przecież trzeba być umiętnie i postawić by uczeń na nie odpowiedział. Może z biegiem czasu nabiorę doświadczenia i wtedy będzie to kwestia wprawy. Starsi nazywają to rutyną.

Po raz pierwszy w obecnym roku szkolnym nie trzeba było zatrudniać w goldapskiej gminie nauczycieli nie-

wykwalifikowanych. Przez wiele lat ich brakowało i dopiero reaktywowanie Studium Nauczycielskiego w Oleku poprawiło tę sytuację. Inspektor Oświaty i Wychowania w Goldapi, Edward Herman, przez chwilę prześladał wykaz nowo zatrudnionych nauczycieli: owszem, przydaliby się jeszcze polonisci i nauczyciele muzyki.

— „Pierwszej lekcji w swojej klasie — wspomina Dorota Buza — z pewnością długo nie zapomnę. Przy ogromnym napięciu uczyłam malców wiersza „Pierwszak” i tak się starałam. Emocje opadły, a ja ciągle starannie przygotowuję się do następnych zajęć. Dobrze, że nie mam obowiązków rodzinnych, że mieszkam z rodzicami. Nie dziwię się, że doświadczeni nauczyciele protestują, gdy ktoś mówi: nauczycielom to dobrze, pracują 18 godzin tygodniowo...

Pensum nauczyciela w szkole wynosi 18 godzin tygodniowo, nie licząc zastępstw. Ale badania ankietowe, przeprowadzone wśród nauczycieli z trzyletnim stażem wykazują, że prowadzenie lekcji, przygotowanie się do nich, pisanie konspektów, a także sprawdzanie zeszytów pochłania im około 45 godzin tygodniowo.

Tak się złożyło, że we wrześniu i październiku o szkole myślałam właściwie cały dzień, bo nawet wieczorem trzeba było odwieźć rodziców moich uczniów. Złożyłam sobie, że muszę poznać każdego, jego warunki domowe. Odwiedzałam wszystkich i muszę stwierdzić, że mają (poza nielicznymi wyjątkami) niezłą sytuację mieszkaniową. Ale rodzice zapominają, że

Moje koleżanki ze Studium zazdroścą mi miejsca pracy. Nie wszystkie trafiają tak jak ja, a początkującemu potrzeba bardzo wiele ciepła, by przetrwać.

dwumiesięczne wrażenia solista: KRYSZKA POLAKOWSKA

BIAŁOSTOCKI UNIwersYTET SERCA

Ze komórka, rzecz to wielka, Pojmie malarz i modelka

Leczyć i myśleć

Jeden ze studentów naszego Uniwersytetu o dużych ambicjach poznawczych (przed laty uzyskał dyplom pewnego wydziału humanistycznego, obecnie zamierza ukończyć nasz fakultet) wysunął pewne zastrzeżenia do naszych wykładów.

Stwierdził, że są one przeładowane szczegółami o budowie komórki, które nie muszą interesować pacjenta. „No, bo albo to jest kurs biologii, albo sprawy dotyczące chorób i ich leczenia”.

Rektor wraz z Senatem BUS-u rozważył na specjalnym posiedzeniu uwagi studenta (składając zaprzeczającego z naszym Uniwersytetem) po czym podjęto dwie uchwały: po pierwsze należy podziękować publicznie studentowi za zgłoszone uwagi i po drugie: dokonać właściwych wyjaśnień i uzupełnień.

Dziśszyj wykład, który jest kontynuacją wiedzy o mechanizmach działania leków, będzie nadto zawierał wkomponowaną w treść realizację uchwały Senatu. Za uwagi dziękujemy; każdy prawdziwy nauczyciel jest zawsze wdzięczny za wskazanie w jego wywodach słabych miejsc.

Wracamy do treści. Zamierzaniem naszych wykładów jest przekazanie słuchaczom wiedzy o tym, w jaki sposób mogła powstać koncepcja wytworzenia nowych leków, które obniżałyby podwyższone ciśnienie. Jak wynika z danych przedstawionych w poprzednim wykładzie, na to, by wpasnąć na pomysł „blokowania” receptorów (których naturalnym zadaniem jest przyjmowanie sygnałów z wyższych pięter układu nerwowego, sygnałów nakazujących skurcz tętnic — a więc wzrost ciśnienia — i przekazywanie tychże „rozkazów” do wykonywania) trzeba było wprawić znać te liczne szczegóły anatomii każdej komórki, które stają się dziś utrudnieniem naszym studentom.

Wspominaliśmy o tzw. kanałach wapniowych znajdujących się w błonie komórkowej. Są to szlaki, którymi przedostają się z krwi do komórki jony wapnia. Te pobudzają włókna mięśni gładkich tętnic do skurczu. Wystarczy je zamknąć (lekarze mówią „zablokować”) i tętnic tracą tendencję do skurczu. Kanały wapniowe odgrywają ważną rolę regulatorów w tętnicach wieńcowych serca. Ich zablokowanie hamuje skurcz tętnic i w efekcie przepływa przez nie więcej krwi.

Wyprodukowano szereg leków blokujących kanały wapniowe. Głównym przedstawicielem jest nifedypina, którą od kilku miesięcy wytwarzamy także w Polsce, w Starogardzie.

Znamy więc już z naszych wykładów dwie grupy leków: leki blokujące receptory adrenergiczne i leki blokujące kanały wapniowe.

Trzeba wiedzieć, że obie te grupy nie wyczerpują wiadomości o całym arsenale leków przeciwnieciężnościowych. Jest ich dużo, mają różnorodne mechanizmy działania; wpływają one na spadek ciśnienia poprzez układ nerwowy, hormonalny itd. Nie jesteśmy w stanie o wszystkich pisać i sadzimy, że nie jest to potrzebne. Słuchacz winien wiedzieć, że lekarze wybierając lek, są w pełni świadomi, na jakie układy określony lek działa do jakich się wciśca elementów komórkowych, jak i na co jest przetwarzany, którydy i po jakim czasie jest wydalan. Dopiero ta pełna wiedza pozwala lekarzowi dobrać właściwy lek i stosować go w odpowiednich dawkach.

Powstaje pytanie, czy jest możliwe znalezienie i stosowanie leku w oparciu o przypadkowe obserwacje? Tak, jest to możliwe, lecz proces wprowadzania tych leków do powszechnego użytku trwa kilkadziesiąt lat. Tak oddano 200 lat temu medycynie znakomity lek, do dziś szeroko używany wyciąg z liści naparstnika. Zawdzięczamy ten lek w dużym stopniu lekarzowi brytyjskiemu Witheringowi. Dziś zresztą nie podaje się pacjentom wyciągów z liści lecz chemicznie czystą wyizolowaną substancję określaną nazwą glikozyd naparstniczy. W większości wypadków powstawanie nowych leków polega dziś na świadomych syntezach zupełnie nowych związków, których budowa daje podstawę do przewidywania, że mogą to być substancje aktywne z punktu widzenia leczniczego. A.K.

dziecko powinno mieć właściwy stół do odrabiania a także własny (może być malutki) kaczka...

— W razie wątpliwości może korzystać z pomocy opiekunki. Na przykład nie lada sztuka było napisanie rozkładu materiałów na cały rok i bez pomocy doświadczonej koleżanki na pewno bym tego nie zrobiła...

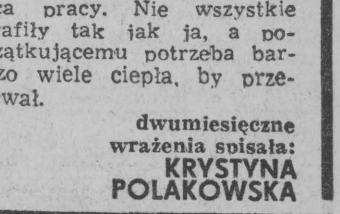
— Mammy „trójce” czworo nowych nauczycieli — dyrektor Tadeusz Wilamowicz pokazuje grafik. Każdy ma przydzielonego opiekuna doświadczonego pedagoga i wiem, że młodzi otoczeni są właścicielami „opiek”. Dorota Buza to nasza wychowawka więc ta szkoła nie jest dla niej placówką, ale to i pełnowartościowa pomoc z drugiej strony nie ma mi wola, że musi się mobilizować, bo przecież dookoła praca jej była nauczycielką. Znowu wracam do tego pedagogicznego. Może dlatego, że bardzo chciała być nauczycielem...

— Chciałam, bo wie działam, w przeciwnieństwie do moich znajomych, że do tego, żeby być nauczycielem, trzeba mieć nowolanie. Dwa miesiące pracy utwierdziły mnie w trafności wyboru.

Paniuje opinia, że studia nie przygotowują do zawodu. Studium Nauczycielskie w Oleku, zdaniem Doroty, dało jej sporo (tzw. ogłady pedagogiczne). Jeśli do tego ma się do dobrego metodyka, a ja miałam — wraca Dorota — to wiele można skorzystać z tych lat nauki. Moja metodyka tak się przejmowała swoją pracą, że na każdym kroku chciała nam użyć w przyszłej pracy i dyktowała gotowe konspekty konkretnych lekcji. Teraz ja nie muszę szperać po podręcznikach i głowić się jak dziećmi „wprowadzić” nową literkę... Wiele skorzystałam z pracy w harcerstwie i na koloniach letnich. Studia nauczyły mnie jeszcze jednej ważnej rzeczy: pomocy do lekcji trzeba zrobić sobie samemu. W naszej szkole, co prawda, są zastawy liter listowny itp., ale jak ja sama przygotuję dzieciom jakieś zestawy to od razu mam pomysł na ich wykorzystanie...

Moje koleżanki ze Studium zazdroścą mi miejsca pracy. Nie wszystkie trafiają tak jak ja, a początkującemu potrzeba bardzo wiele ciepła, by przetrwać.

dwumiesięczne wrażenia solista: KRYSZKA POLAKOWSKA



NASZE ROZMOWY

Uwielbiam szwarz - charaktery

Rozmowa z **RYSZARDA RACEWICZ** (mezzosopran), solistką Teatru Wielkiego w Warszawie:

— Początki Pani kariery śpiewaczej prowadzi do Białegostoku...

— Wprawdzie urodziłam się w pobliżu Białegostoku, ale właściwie tutaj zrobiłam maturę i ukończyłam średnią szkołę muzyczną.

— Od początku było wiadomo, że zostanie Pani śpiewaczką operową?

— Oczywiście, że nie. W liceum co prawda śpiewałam w szkolnym kabarecie, ale nigdy nie traktowałam tego poważnie. Zawsze miałam skłonność do przedmiotów ścisłych. Chciałam studiować chemię. Ale poznałam swojego obecnego męża, który słysząc mnie — a sam też jest muzykiem z zawodu — stwierdził, że powinienem zająć się nauką śpiewu. To właśnie on skierował mnie na tę drogę.

— To chyba proste, tak wysiłać na estradę i śpiewać?

— Z jednej strony jest to bardzo proste, a z drugiej szalenie skomplikowane. Ręcznie wrodzone predyspozycje są niezbędne, ale to jeszcze nie wszystko. Ten dar natury wymaga niesamowitego nakładu pracy.

Trzeba osiągnąć znakomitą technikę wokálną, żeby potem móc głosem robić to wszystko, co zapragnie umysł i serce.

— Kto pomagał Pani podnieść sobie głos?

Po drodze spotkałam kilka osób, które bardzo mi pomogły w udoskonaleniu warsztatu.

Zaczynałam u pani Gładyszewskiej w Białymstoku. Na studiach kształciłam się u prof. Magdaleny Halfter i doc. Krystyny Szczepańskiej. Ale największe skosztowałam pracując już poza szkołą, z Marią Foltyn i Bożeną Kinasz-Mikolajczak.

Pani Kinasz nauczyla mnie oddechu, natomiast dzięki Marii Foltyn opowiadałam wszystkie niuanse techniczne.

W pewnym momencie jednak każdy artysta musi sa-

modzielnie wybrać dla siebie najwłaściwszą drogę. I do tego chyba już doszłam sama.

— Doskonaliły Panią najwybitniejszego sopranu, tymczasem funkcjonuje Pani jako mezzosopran, który w czasie występu na białostockiej estradzie „schodził” aż do altu...

— Technika jest jedna dla każdego głosu. Mam głos mezzosopranowy, ale już w tej chwili śpiewam rolę sopranową i to z koloraturą, wykonuję też partie sopranu dramatycznego. Rozszerzyłam swoje empy.

Staram się operować całą skalą głosu, od najniższych dźwięków altowych aż po górę sopranu — do „C” trykresnego, a jak trzeba to i wyżej. Taka możliwość daje mi po prostu technika.

— Już nie musi Pani pracować nad głosem, korzystając na przykład z usług pianisty-korepetytora, jak inne wielkie gwiazdy?

— Właściwie nigdy nie można przerwać doskonalenia głosu. Podstawowa sprawa w śpiewie jest oddech. Pamiętam o tym i dlatego codziennie się gimnastykuję, żeby utrzymać kondycję fizyczną. Oprócz tego systematycznie ćwiczę oddech. W ten sposób nie używając głosu rozgrzewam aparat. Potem wystarczy mi dziesięć minut operowania dzieckiem i już jestem rospiewana.

— Stara się Pani wyspecjalizować, czy też maksymalnie poszerzyć repertuar?

— Bardzo lubię tzw. środki w operze — Verdiego, Donizettiego, Pucciniego, Ponchielliego. Chętnie śpiewam muzykę klasyczną i barokową. Wykonuję też czasem kompozycje współczesne, ale w operze staram się je omijać. Wymagają one od śpiewaków specjalistycznego traktowania głosu-krzyku, ściśniętego gardła. Uważam, że jest to bardzo niehygieniczne śpiewanie, które może zaszkodzić w wy-



konwaniu muzyki klasycznej.

— Podobno największe gwiazdy operowe milczą na kilka dni przed spektaklem, owijają szyję szalikami, oia ziołka, żeby wystąpić w dobrej formie. Czy Pani również tak się oszczędza?

— Mój zawód rzeczywiście wymaga wielu wyrzeczeń. Ale ja, niestety, muszę sama sobie przygotować obiad i sama siebie obsługiwać. Prowadzę normalne życie rodzinne. Zrezygnowałam jedynie z bogatych kontaktów towarzyskich. Poza tym, wcześniej chodzić spać i staram się skupić wyłącznie na tym, co robię. Wmawiam na przykład sobie, że jestem zdrowa i to nawiązanie psychiczne przy tym zdrowiu mnie trzyma.

Najbardziej pomaga mi pogoda ducha. Jestem z natury wesoła, nie złościę się z powodu głupstw. Zdrętwiałam energię wyłączonej na swoją pracę zawodową.

— Śpiewanie w operze, to także aktorstwo. Widać to wyraźnie, kiedy jest Pani na estradzie. Czy tego też trzeba się uczyć?

— Przez cztery lata uczyłam się sztuki aktorskiej na Wydziale Reżyserii PWST w Warszawie. Chodziłam na zajęcia do profesora Aleksandra Bardinińskiego, jako wolny słuchacz. Potem profesor zabrał

mnie na kurs wokalno-aktorski do Austrii. Tam doskonaliłam umiejętności pod kierunkiem Joachima Hertza, znakomitego niemieckiego reżysera.

— W Pani karierze jest jeszcze jeden interesujący moment — złoty medal, który otrzymała Pani w 1982 roku na konkursie wokalnym w Bieleście, z r. z. samej Renaty Tebaldi. Po powrocie do kraju na lotnisku czekał już dyryktor z kontraktami, impresariowie z ofertami koncertów czy tak?

— Nie szczególnego się nie stało. Nagralam program w radiu, miałam kilka propozycji od PAGART-u.

Uważam, że w moim zawodzie konkurs nie jest wcale odzwierciedleniem autentycznych umiejętności. Każdy solista sprawdzi się dopiero na scenie.

— Było coś ważniejszego w Pani karierze?

— Chyba największym moim sukcesem, który obdłił się słownym echem nie tylko w kraju, stał się mój występ w roli Lady Macbeth na scenie Teatru Wielkiego w Warszawie. To było spełnienie moich marzeń. Myślałam, że ciekawskiej roli pod każdym względem — i od strony wokalnej, muzycznej i aktorskiej, chyba już nie będę miała.

Jest to wspaniała postać. Mogłam w niej pokazać cały wachlarz swoich umiejętności i własne wnetrze. Fantastyczna akcja, z doskonałą końcówką sceną obłędu, gdzie jest wszystko — od zaciepienia głosu w gorze w pianissimo, poprzez mezza voce (półgłos), rozwijanie go crescendo a potem znowu ściszenie. Po prostu wspaniały bel canto.

— Lubi Pani ostro zarysowane role?

— Uwielbiam wielkie, mocne nakreślenie postaci. Nawet szwarz-charaktery, chociaż wcale taka w życiu prywatnym nie jestem.

— Na scenie zwraca uwagę nie tylko Pani potężny głos, ale nie mniejszy temperament. Nic z tego nie przenosi się za kulisy? Pracuje Pani pod dyktando dyrygenta?

— Ależ nie! Zawsze musi być tak, jak ja to sobie wy-

marze. Wydaje mi się, że jeżeli nie pokażę całej swojej osobowości, to przypadnie. Wkładam w postać całą siebie. W arciach, naturalnie, to ja prowadzę, dyrygent musi mi akompaniować.

— A jednak jest Pani apodyktyczna!

— Żeby pozostać sobą, muszę być bezwzględna. Inaczej nigdy nie mogłabym zrealizować tych myśli, które są we mnie.

— Obecnie jest Pani solistką Teatru Wielkiego w Warszawie. Wszystkie noty zostały już Państwu przekazane?

— W szkole, jeszcze jako studentka śpiewałam rolę Donizetti w „Così fan tutte”. Kiedy rozpoczynałam pracę w Teatrze Wielkim w Łodzi, już po trzech tygodniach zadebiutowałam w roli Carmen. Potem śpiewałam główne partie w wszystkich kolejnych premierach, m.in. partię Księżniczki Eholi w „Don Carlosie”. Ażuceny w „Trubadurze”, Adelgisy w „Normie”.

W 1981 roku zostałam przyjęta do Teatru Wielkiego w Warszawie, no i też nie narzekam.

— Nie marzy Pani o największych scenach świata?

— Nie jestem zachłanna na karierę. Uważam, że powinienam przede wszystkim pracować bardzo solidnie i uczciwie. Wszystko opieram na swojej pracy. Nie mam w sobie tego wielkiego pechu do sławy.

Wyjeżdżam oczywiście za granicę, ale najczęściej występuję w kraju. Wystarczy mi to, że w Teatrze Wielkim mam „swoją” publiczność, która przychodzi właśnie na moje spektakle. Niektórzy podobno nawet plażą. Cieszy mnie to bardzo.

— W Białymstoku również ma Pani swoich fanów. Czy wielbiciele mogą liczyć na to, że będzie Pani częściej odwiedzać nasze miasto?

— Bardzo chętnie. Chciałabym przyjechać tutaj jeszcze na koncert arii operowych z orkiestrą.

— Jakie propozycje znalazły się w Pani kalendarzu na bieżący sezon?

— O rzeczy najwspanialszej nie chciałabym mówić. Boję się zapisać. Mam propozycje śpiewania wspaniałej roli na scenie dramatycznej — takiej w stylu Lady Macbeth — w jednym z doskonałych teatrów w kraju.

— Życzę powodzenia i dziekuje za rozmowę.

Rozmawiała:
OLGA PACEWICZ
Fot. **ZOFIA NASIEROWSKA**



Zupełny to przypadek, że historię tę usłyszałem i przekazuję Czytelnikom właśnie w stulecie samochodu. Tyle bowiem lat minęło już od chwili, kiedy to niemiecki konstruktor Gottlieb Daimler po wcześniejszych doświadczeniach z benzynowym silnikiem szybkoobrotowym w motocyklach i trójkołowcu zbudował w 1886 roku pierwszy czterokołowy samochód zastawiający doń ten sam rodzaj siły napędowej. Tak więc rok 1886 wpisano do historii techniki jako początek zawrotnej i trwałej kariery samochodu.

W niespełna trzy lata po tym wydarzeniu w podwarszawskim Garwolinie rodzina znanego tam cieśli Aleksandra Skwarczyńskiego powiększyła się, jak wtedy powiadano,

Pana Adama automobilowa miłość

o niemożliwie pici męskiej, któremu dano imię Adam i po cichu prorokowano, że pójdzie w zawodowe ślady ojca. Nikt wtedy nie przypuszczał, że Adam całe swoje dorosłe życie zwiąże z tylko o trzy lata odejstszym samochodem. Nikt nie przypuszczał, że też wieści o wynalazku Daimlera jeśli nawet dotarły do Garwolina, to bynajmniej nie zainteresowały ani znanego cieśli ani jego najbliższych. Po co było interesować się innym środkiem lokomocji, skoro dobrze zarabiał przy rzemieślniczym własnym koniu, furmankę, a na zime nawet sanie.

O zime i o saniach to pan Adam opowiadał do końca ostatnich swoich dni. A ponieważ dobry nastroj rzadko go opuszczał to i opowieści były barwne i dowcipem okraszane. Kiedy trokliwe córki, te które mi o historii jego życia opowiadały, a więc Czesława Redkowska i Janina Skwarczyńska, dopytwały się ciagle o jego zdrowie, odpowiadał beztrosko:

— Przecież wiecie, że mi nic nie będzie. Nigdy nie chorowałem, i nigdy nie leżałem w szpitalu. Dziesiątki lat przejeżdżałem samochodem i nie miałem wypadku. Mówiłem wam, że od dzieciństwa chroni mnie baranek.

I to zwykłe rozpoczynając opowieść jak to bodaj w 1893 roku wieści o rodzice jako czterolatniemu pederakowi na pasterkę do kościoła w Garwolinie. Zima tamtego roku w ludzkiej pamięci zapisana jest srogimi mrozami. Trokliwa matka co parę minut zapadała do okutego w koźlich maca sprawdzając czy jeszcze nie zamrzął. W drodze powrotnej zanepokoiła ją to, że gromadzący w tobołku malec zamknął. Zarządca i zobowiązał chłopca ściszenie śpiącego. Był ciepłutki, bo ogrzewał go swoim futerkiem mały biały baranek. Wraz z samotnikiem nie mógł wyjść z podziwu skąd się zwierzątko przy chłopcu znalazło. Kiedy dojechali do domu Włotpię spał jeszcze, ale baranka już przy nim nie było.

— To twój baranek boży — przypominała potem wiele razy matka. — On nie pozwolił ci zamarać w tamtą wigilijną noc, to strzeć będzie przez całe życie.

Matce trzeba wierzyć. I Adam Skwarczyński uwierzył. Nie miał więc ani wypadku drogowego, ani też nie chorował nie licząc przebiegnięcia. Nie miał zresztą czasu na choroby. A było to ciekawe, pracowite życie. Ze było właśnie takie zawodowe chłopa ojca, który nie upierał się w kwestii synowskiej profesji. Trudno zresztą dziś dobiec, czy to synowi niebył podobna do obojczyka z piłą i siekierą, czy też ojciec pragnął synowi leższy chleb zapewnić. Tak czy owak kilkunastoletni Adam „wyglądał” w Warszawie. Zamieszkał u starszej siostry zobowiązanym, aby przyprowadzić do nauki nakłaniała, a jak zabrakło potrzeb to i przy-

muszała. Ani siostra, ani ojciec nie mieli jeszcze sprzecznej koncepcji, jaki zawód ma wybrać młodzieniec.

Ale Adam miał już tę koncepcję. Zafascynował go bez reszty warzący i dymiący pojazd poruszający się na czterech kołach, zwany samochodem. Od czasu do czasu widywał takie na tych eleganckich ulicach, gdzie chodniki z desek były ułożone. Pojazd uwidział powściązanie zainteresowanie nawet wśród najelegantszego towarzystwa.

— Ach, pojechać by takim wehikułem. To nie, że przypomina zwykłą dorożkę, ale nie ma konia i nie leje się do kierowania, ale zmyślny ster.

Od tego czasu samochód stał się głównym centrum zainteresowania Adama Skwarczyńskiego. Rzec by można został jego miłością od pierwszego wejrzenia.

Zdobycie szczegółowych wiadomości na temat tej transportowej nowinki było w pierwszym roku XX wieku niezwykle trudne. Istniała może jakaś fachowa literatura, ale dostępne ogólnemu czytelnikowi o samochodzie nieczęsto i niewiele.

Dziennikarz takiego np. szacownego tygodnika jak „Zorza” tak oto informował swoich

czytelników o aktualnych osiągnięciach technicznych i udogodnieniach podróżowania: „W Ameryce istnieją już koleje jadące z szybkością 15 mil na godzinę (130 km — przyp. E. H.). U nas pośpieszny pociąg kolei wiedeńskiej robi około 11 mil (93 km) na godzinę.”

Nie dość było jednak ludziom koleją żelazną. Potrzebują one wyłącznie dla siebie torów, szyn, urządzeń różnych, a to krępuje człowieka, nie pozwala jeździć gdzie komu potrzeba, lub gdzie się komu podoba. „I oto przed niedawnym — czytamy w „Zorzy” — bo trzy czy cztery lata temu wymyślono samochody czyli wozu poruszane nie kołami, ale czymś niewidzialnym (autor pomylił się o całe dziesięć lat, bo powinien napisać nie cztery lecz 14). Istotnie, gdy się patrzy na pedacy szybko taki wóz bez konia, a nawet bez wyraźnie widocznej maszyny, robi to wrażenie, że wóz sam się porusza, sam jeździ.”

Potem zadziwiony i niewiele pojęcia mający o technice samochodowej autor, który nie wiedział nawet dobrze, kiedy pierwszy samochód skonstruowano, zawiła wyjaśniał zasady działania silnika. Podziwiał także niezwykły trud i wiedzę wynalazców. Nie przypuszczał nawet, że był to jeden niemiecki konstruktor.

„Dowodzą tego okoliczności, że liczba samochodów coraz bardziej się zwiększa. W Ameryce pełno ich wszędzie a i w Warszawie naliczyłoby się że trzydziście.”

Są podobno nawet takie, co robią około 50 wiorst na godzinę (jedna wiorsta 1065 m — przyp. E.H.). Oczywiście po szosie. Przekonał o tym dobitnie niedawno wysłany samochodem pomiędzy Paryżem a Berlinem. To jedno musi nas smucić, że samochody owe nie mogą się toczyć po takich „naszych” piaskowych lub pełnych wybojów drogach. Wymagają dobrych dróg szosowych, których pełno za granicą.

Wynalazczość pomysłu ludzkiego — konstruktora dziennikarz „Zorza” we wrześniu 1901 roku — może jednak doprowadzić do tego, że koń stanie się zbędny, a furmanki ze skrzypami o obitych bokach pójdą do zapomnienia.”

Kilkunastoletni wówczas Adam Skwarczyński — warszawiak z Garwolina zachłanił przysługującą każdą wiadomość o samochodzie. Już wtedy wiedział, że motoryzacja będzie pasjonowała go przez całe życie. Miał przy tym niemałe szczęście, bo im ukończył dwudziesty rok życia znalazł się już na rosyjskiej politechnice — tej samej, która w 1915 roku przemianowana została na politechnikę warszawską. Znalazł się na tej uczelni nie w charakterze studenta, ale... O tym za tydzień.

EUGENIUSZ HRYNIEWICKI

STĄD DO PRZESZŁOŚCI

Dawne dzieje rozbudzają historię świadomość i dają impuls aktywnym

Bywało w Łomżyńskim

Człowiek z pasją — to bodaj najlepsze określenie Czesława Brodzkiego, z zawodu farmaceuty — z zamiłowania historyka. Lubi wertowanie starych ksiąg, dokumentów, pamiętników, wspomnień, spisów i rejestrów. Szuka w nich okrucich historii Ziemi Łomżyńskiej. Znajduje w archiwach państwowych, prywatnych i kościelnych całej Polski — od Krakowa i Wrocławia po Warszawę i Płock. Skrzętnie wypisuje, robi odbitki, utrwalia na mikrofilmach, tworząc domowe archiwum. Zbiera nie tylko dla siebie. Tajniki przeszłości nadnadrzańskich i nadleżańskich miast i miasteczek odkrywa na nowo, odczytuje z kurzu zapomnienia poprzez liczne publikacje w prasie i książki o historii regionu.

Największą satysfakcję dają, jak każdemu badaczowi przeszłości odkrycia ukryte. Takie jak znalezienie w warszawskim Archiwum Akt Dawnych dokumentu z 1752 roku będącego najstarszym oryginalnym odnowieniem i potwierdzeniem praw miejskich Kolna. Odkrył je w aktach miasta... Kalisza.

W swych publikacjach, m.in. na łamach „Kontaktów” i „Gazety Współczesnej”, opierając się na dokumentach opisuje zycza i życie i obyczaj dawnych mieszkańców tej ziemi, ukazuje sylwetki znanych i zapomnianych z łomżyńskim rodowodem, przybliża dzieje narodowych zwycięstw, z wojny rozbiórów, w wymiarze północno-wschodniego. Mazowsza „Popularyzuje przeszłość, bo przecież „jest to-

dzis, tylko cokolwiek dalej” bo rozbudza ona historyczną świadomość i daje impuls aktywnym.

Wybór publikacji Cz. Brodzkiego z lat 1980—86 ukazał się ostatnio w wydaniu książkowym nakładem Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej i Wydziału Kultury i Sztuki UW w Łomży. W książce, zatytułowanej „Bywało w Łomżyńskim”, znajdziemy obok krótkich i interesujących opowieści o arianich reformatorach z Wizny i Goniądza, legendach i prawdziwych o Stachu Konwie i przedkolumbijskim odkrywcami Ameryki — Janie z Kolna, także żywo opisaną biografie Feliksa Bernatowicza — autora pierwszych polskich powieści historycznych oraz łomżyńskie tradycje Konstytucji 3 Maja.

Zachęcając do sięgnięcia po te pozycje warto za Czesławem Brodzkim wspomnieć, że pierwsze redagowanie i — co ważniejsze — drukowanie w Łomży. (w drukarni Lenteckiej) pismo pod nazwą „Dziennik Łomżyński” ukazał się w 1812 roku. Drukowane było na czerpanym papierze, produkowanym zresztą w łomżyńskich papierni. Dziś miejscowe władze dają do budowy nowoczesnej drukarni, na papierze szanę nie ma żadnych.

JERZY BRODZIUŁ

Czesław Brodzki — „Bywało w Łomżyńskim”, druk Spółdzielni Inwalidów „Przyszłość” w Białym Podlaskim, nakład 2500 egz, str. 72.

TELENASTROJE

Film Kondratyuka stara się w obrazach zamknąć uczucia i nastroje.

„Chwała wam: zimny wiosny lat i Jesienię / Chwała temu co bez gniewu idzie / poprzez śniegi deszcze blaski i cienie” pisał Edward Stachura w poemacie „Missa pagana” słać urodę życia, życia zmierzającego nieustannie ku śmierci. Nie ma w tym sprzeczności, nie ma paradoksu. „Był tacy co się rodził (był tacy co umierał). Filozofia życia? Odniesienie praw natury? Przemijanie, któremu podlegamy nie czując go? Czasem są doświadczenia bolesne...”

W listopadowy wieczór godziną refleksji stał się — zaprezentowany w TV — film Andrzeja Kondratyuka „Cztery pory roku” oraz ostatnie wiersze Jarosława Iwaszkiewicza zebrane w poemacie „Muzyka wieczorna”. W nastroju „Cztery pory roku” Iwaszkiewicza „pogoda nicości” i afirmacja życia we wszystkich jego przejawach: spłata się ze smutkiem, melan-

cholią i zalem nad ulotnością chwili, niepełnością losu, kruchością ludzkiego bytowania.

Film A. Kondratyuka stara się w obrazach zamknąć uczucia i nastroje. Wywołuje zdumienie, zmusza do refleksji nad sensem przemijania. Pozwala zrozumieć konieczność śmierci dla życia. I śmierć, i życie mają się jako nieoceniona wartość. „Śmierć i życie są jednym” — pisał Edward Stachura w ostatniej swojej książce. — Kto rzuci się w podwór w głąb siebie i pozna siebie, i umrze dla siebie, kto dostępnego dla, dostąpi dnia własnego dnia, ten tylko się odbije od tego dnia w górę i wyskoczy z niekończącym martwego przepaści czasu, ten tylko zobaczy pierwszy fakt będący tym faktem: zobaczy początek wieczności, będąc wiecznością”. To podwór w głąb siebie, intensywne przeżywanie świata i własnej natury umożliwia przyrodę. Obuwać z nią stajemy się lepsi, bardziej „białymi”, spokojni, ufn. Dostrzegają piękno otaczającego nas świata, doświadczamy nieuchronności przemijania.

Rodziny film A. Kondratyuka pokazuje nam nas samych — nasze rozterki i radości, spełnienia i obawy, egzystencjalny lek czy zostanie po nim jakiś ślad, gdy przejdzie na drugi brzeg? Cztery pory roku zamknięte w życiu ludzkim. Takie jedno życie — ileż w nim ujęć boskich, mądrości natury, jadu i harmonii. Uwiecznione w filmie w obrazie, niejący dziś ojciec reżysera — Arkadiusz Kondratyuk, doświadczył cierpienia, zmierzającego ku śmierci — a ileż w nim woli życia. „Bo kiedy ty umierasz, tryska życie”. To znowu Stachura. I bolesna świadomość własnego istnienia, której doświadczać bardziej niż ktokolwiek inny. Skłaniał pisarza ku tej intensywności przeżyć — własną wrażliwość, nadwrażliwość

system nerwowy, kariera trudna do przyjęcia i akceptacji, choroba wreszcie. Nie do zniesienia okazały się schematy życia, w których zabrakło miejsca dla człowieka. Umierał więc za „każdy brak, który czuł każdą cząstką ciała i każdą cząstką duszy”.

Dziś postać to legendarna. Legendą Stachury wyrastająca m.in. z biegu życia i okoliczności śmierci przesłania twórczość pisarza. Wina ponoszą zapewne i krytycy, o których autor „Siekierzady” mawiał: „Słucham ich jak zapustnego radia”. Krytyka milnie. Twórczość Stachury żyje. Żyje i inspirowa. Żyje w naszej codzienności i w sztuce. Wielonakładowe dzieła Edwarda Stachury szybko zniknęły z księgarskich półek. Moda? Legendy? Potrzeba? Poszukiwanie prawdy. Przeświadczenie, że nikt nie ma prawa wyrokować o sposobie życia, o sposobie przeżywania świata przez drugiego, czło-

wieka. Egzystencjalny dramat: istnienie jako jedyny wielki, tragiczny cierpienie, cierpienie nie do przezwyciężenia. Sprawy ludzkie. Sprawy trudne. Sprawy ostateczne — życie i śmierć, śmierć i życie jako jedność.

Życie ludzkie jak liść na wietrze — przemijanie... Bohaterka „Czterech pory roku” zmłatając jesienne liście, że zdziwieniem lecz przejmując powie: dopiero było lato... Zima, walka z lektem, z samotnością w tłumie, tęsknota za odwiecznymi uczuciami — miłością, życzliwością, dobrym słowem, serdecznym gestem. Tęsknota za wartościowością, których poskapił nam niespokojny wiek dwudziesty. Walka o ocalenie człowieczeństwa w człowieku.

Zima, „Siekierzady” albo zima leśnych ludzi stała się inspiracją dla wyobraźni twórcy Witolda Leszczyńskiego. Zaowocowała filmowym dziełem niezwyklej. Oszczędnym w środkach. Dalekim od patosu i egzaltacji. W sposób klarowny i podniosły ogłasza tu W. Leszczyński swe przykazania miłości do człowieka. Obraz i słowo wspomina w tej misji muzyka Jerzego Satomskiego; pobrzmiewa i mistrz Antonio Vivaldi. Ta muzyka jest w stanie oddać najsubtelniejsze dźwięki ludzkiej duszy. Film wzrusza widza; jest wspaniałym przykładem na wzrok i słuch; odbiera mowę, porusza do głębi. Wspaniale aktorstwo, nienaganna warsztatowość, artystyczna maestria.

Powstał obraz przejmujący. Nie dla wszystkich, oczywiście. Dla tych, którzy szukają: dla tych, którzy czują więcej. Inni! Inni muszą dramat. Poznać swe wnętrze, doświadczyć dorastania, istnienia, „ucieczki od siebie do siebie”. Katedra lasu i... puste niebo. Człowiek w obliczu spraw ostatecznych. Zima. A dopiero było lato... TERESA ZANIEWSKA

Zmierzchu filmu gangsterskiego jest już bliski?

W ostatnich dwóch miesiącach to już trzeci gangsterski film na naszych ekranach (po „Cotton Clubie” F. F. Coppoli i „Honorze Przizlich” J. Hustona) pamiętając o niedawnym retrospektywnym przeglądzie poświęconym temu gatunkowi zorganizowanemu przez Dyskusyjny Klub Filmowy „GAG” i dokumentalnym serialem angielskim „Korporacja szbrodni” emitowanym przez telewizję.

dziewczyny porwanej przez gang handlarzy narkotyków. Te banalna historyjka zrealizowana z istic amerykańskim rozmachem. Zrezygnowanie akcji nowojorskiej policji do Azji umożliwiło reżyserowi połączenie amerykańskiego kultu broni z wschodnim kultem karate i jego odmian. W ten sposób powstało niezwykle widowiskowe, którego jedynym celem jest przyciągnięcie uwagi widza i utrzymywanie w ciągłym napięciu. Służu temu cała feeria go-

nitw i bijatyk z użyciem o-prócz wszystkich kończy i różnych rodzajów broni palnej, także różnych narzędzi mogących pomóc w wyspediowaniu przeciwnika w zaświaty, mimo że ich przeznaczenie w normalnym użytkowaniu jest zupełnie inne. Nie ma też żadnej dbałości o prawdę obywatelską wyrażoną rozprawy sądowniej nie tylko na ziemi, ale i w historii gatunku, który zdołał ożywić nieżyjący już Bruce Lee chociażby w pamiętnym „Węsiu smoka” przez rozorbanowanie wschodnich stylów walki.

W obrazie J. Glickenhauza dwóch nowojorskich policjantów wyrusza do Hongkongu w poszukiwaniu

FILM

przez co film nie nie traci, gdyż scen w których mogły się ujawnić kunszt aktorski po prostu nie ma. Liczy się w nim sama sprawność fizyczna wykonawców, a z tego zadania wywiązali się całkiem nieźle. Zaletą filmu są też zdjęcia autorstwa Marka Irwina. Prócz jeszcze warkiego toku narracji i humorystycznego dialogu więcej zalet trudno się dopatrzeć. Banalna historyjka z banalnym zakończeniem w banalnym i imo pewnych zalet stylu.

Uznaje się (być może nie powszechnie), że obumieranie gatunku filmowego przebiega dwutorowo. Po pierwsze pojawiają się komedie lub parodie wpisane w dominujące stereotypy powojenne, dotychczas obrazów, ewentualnie podejmowane próby wpisania nowych treści historycznych czy społeczno-obyczajowych. Po drugie następuje eskalacja efektów — zewnętrznych. Zwiększa się liczba polejczyków, ofiar o nasilającej się brutalności. Przyjmując, że faktycznie taka jest droga obumierania gatunku, czego dowodem jest zniknięcie westernu, to oglądając „Protectora” nasuwa się nieodparcie wniosek, że zmierzchu filmu gangsterskiego jest już bliski.

W obsadzie aktorskiej brakuje wielkich nazwisk, MACIEJ TEFELSKI

Protector

„Protector” — film mało znanego reżysera amerykańskiego — Jamesa Glickenhauza, jednocześnie autora scenariusza, jest odzworowaniem klasycznego już schematu. Schematu indywidualnego bohatera występującego w obronie pokrzywdzonych — przeciwko zorganizowanemu s iewisku przestępczemu z happy-endem. Niekiedy można powiedzieć, że w historii gatunku, który zdołał ożywić nieżyjący już Bruce Lee chociażby w pamiętnym „Węsiu smoka” przez rozorbanowanie wschodnich stylów walki.

